

WŁADYSŁAW ST. REYMONT

Z ZIEMI CHEŁMSKIEJ

WRAŻENIA I NOTATKI

WYDANIE CZWARTE



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE



517

SKŁAD GŁÓWNY:

«THE POLISH BOOK IMPORTING CO., INC.» — NEW YORK

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

1927

I. MISJA ¹⁾).

Pan R. ożywił się niezmiernie i zawołał:

— Ależ ja sam brałem udział w tej ostatniej misji, a tak mi głęboko wyryła się w pamięci, że mogę panu opowiedzieć o niej z najdrobniejszymi szczegółami. Poprzedzę tylko to opowiadanie pewną, dosyć charakterystyczną sceną, żeby pan miał pełniejszy obraz życia na Unji, przed aktem tolerancji ²⁾).

.

Wielkanoc owego roku wypadła w początkach kwietnia, razem z prawosławną. Pamiętam, że

¹⁾ Misja (z łac.) — posłannictwo; tu — zjazd duchowieństwa do danej miejscowości na uroczystość religijną. Misja w ziemi chełmskiej miała szczególne znaczenie: duchowieństwo katolickie w największej tajemnicy przekradało się do trudno dostępnych miejsc w lasach, aby tam odprawić mszę św. wobec zgromadzonych tłumów unitów, nauczać, chrzcić, dawać śluby, słuchać spowiedzi, komunikać. Księżom za taką misję groziło ze strony rządu rosyjskiego zesłanie na Syberję; ²⁾ prześladowanie unitów w Chełmszczyźnie trwało aż do r. 1905, kiedy, wskutek rozruchów rewolucyjnych w całej Rosji, rząd ogłosił w kwietniu akt, czyli ukaz tolerancyjny, zezwalający na przechodzenie z prawosławia na inne wyznanie; wtedy lud chełmski gromadnie przyjmował obrządek łaciński.

w Wielki Piątek od samego rana mżył deszcz, i było zimno. Śniegi jeszcze leżały po rowach, role były rozmiękle do dna i drogi nie do przebycia. Chodziłem zdenerwowany, bo zanosilo się na dłuższą pluchę, a tu, jakby na dobitkę, przychodzi mi mój kowal i prosi, żeby posłać konie po księdza, do jego chorej żony.

— Co się stało? Widziałem ją, jeszcze wczoraj przy wieczornym udoju.

— Zachorowała w nocy, leży prawie konająca! — mówił, trąc rękawem oczy.

— To idźcież do pani, może wam co pomoże.

— Kiedy się bojamy ¹⁾, bo może to ospa.

Wystraszyłem się nie na żarty, gdyż na wsi grasowała ospa przez całą zimę.

— A może wam sprowadzić doktora? — proponuję mu bardzo serjo.

Jakby się zdumiał, aż głowę otworzył. Ale naraż rzucił mi się do nóg, całował mnie po rękach i bełkotał wystraszony:

— Dopraszam się tylko o księdza! Doktór nie pomoże! Co tam te doktory. Obejrzy, opuka, zapisze lekarstwo, pieniądze weźmie, a chorobę zostawi. Pan Jezus prędzej odmieni na lepsze. Kobieta tylko skamle o księdza.

Poszedłem zaraz do stajni, żeby wybrać czwórkę, bo do parafji mieliśmy cztery opętane mile i roztopami, ale, gdym mijał czworaki, wydało mi się, że dojrzałem kowalową w głębi sieni, karniącą prosiąta. Powstałem na nią, że w takiej chorobie wy-

¹⁾ Bojąc się (gwar. lud.) — bać się.

łazi na zimno. Uśmiechnęła się jakoś dziwnie, zaprosiła mnie do izby i, zamknąwszy drzwi, powiada mi cicho do ucha:

— Musi jaśnie pan posłać po księdza z Panem Jezusem, koniecznie potrzeba.

Mówiła z takim naciskiem, i oczy jej tak błyszczały, że byłem pewien, iż majaczy.

— Ja zdrowa jestem, chwała Bogu! — odpowiedziała. — Ale tylko do mnie można wezwać księdza, bo tylko ja jedna z dwórek jestem prawna katoliczka.

— A któż chory? — zaczynałem rozumieć ten podstęp.

— Na wsi leży czworo prawie konających. Przecież nie mogą umrzeć bez świętej spowiedzi, a zapisane w prawosławne ¹⁾, to księdzu nie wolno do nich przyjechać! Mają te cztery niewinne dusze pozostać bez świętych Sakramentów? Od tygodnia się męczą, od tygodnia skonać nie mogą, a tylko skamlą i skamlą o księdza! Aż strach patrzeć i słuchać. To umyśliłam sobie: udam chorą, Pan Jezus daruje mi to cygaństwo ²⁾, ksiądz przyjedzie do mnie, a tamtych przyniesą na ten czas do izby, i wyspowiadają się. Strażniki ani się domyślą.

— Chcecie ospę przywlec do chałupy! — krzyknąłem na nią.

¹⁾ Rząd rosyjski przemocą dążył do zniesienia Unji; i popi zapisywali unitów, jako prawosławnych, nie pytając o ich zgodę; to się zwało «dobrowolnem nawróceniem się». Unicie, zapisanemu, jako prawosławny, pod grozą najstraszniejszych kar nie wolno było praktykować swej wiary;
²⁾ cygaństwo — oszustwo.

— Bez woli Bożej nikomu włos z głowy nie spadnie! — odparła poważnie.

— Przecież macie drobne dzieci, mogą się łatwo pozarażać! — tłumaczyłem.

— To już trudno. Może Jezus w czem innem okaże nad nami swoje miłosierdzie, a tym nieszczęśnikom trzeba pomagać. Nie o małą rzecz idzie, o zbawienie dusz człowiekowych! ¹⁾ — dodała z taką mocą, że dałem spokój perswazjom i konie wystawiałem.

O zmierzchu przywlekli chorych do kowalowej izby i pokładli pokotem na podłodze. Kowalowa powtykała im w garście pozapalane gromnice, przyklękała w pośrodku i bardzo żarliwie modliła się za konających, którzy leżeli nieruchomo, cierpliwie oczekując na spowiedź, rozgrzeszenie i śmierć.

Widziałem to na własne oczy i nigdy tego nie zapomnę.

Ksiądz przyjechał późnym wieczorem, a za nim trop w trop strażnicy, jak zwykle, aby go pilnować, żeby czasem nie zaniósł jakiej religijnej pociechy «uporstwujuuszczym» ²⁾. Węszyli przez cały czas pod zasłoniętymi oknami, ale nie wywęszyli. Ksiądz przygotował chorych na śmierć i odjechał.

Wszyscy ci chorzy pomarli tej samej nocy.

A w parę dni potem umarło na ospę dwoje dzieci kowalowej.

Gorzko zapłacała za swoje miłosierdzie, ale

¹⁾ Człowiekowy (gwar. lud.) — ludzki; ²⁾ opornym (po rosyjsku); opornymi rząd rosyjski nazywał unitów, nie chcących przyjąć prawosławia.

przyjęła ten cios jakby z uniesieniem szczęścia, gdyż zaraz po pogrzebie powiedziała do mojej żony:

— Pomarły moje dzieciątka, pomarły... ale swoją śmiercią wykupiły cztery dusze z wiecznej zatraty.

Otóż wkrótce po odejździe księdza i jego aniołów stróżów, gdy się uspokoiło w domu, poszedłem do swojej kancelarji, a tylko co zapaliłem lampę, ktoś zapukał w okno, i jakaś twarz mignęła mi za szybami.

Wziąłem rewolwer i wyszedłem na ganek. Pod drzwiami stał jakiś człowiek. Zajrzał mi zbliska w twarz i szepnął:

— Jutro w nocy misja!

— Gdzie?

— W samo południe zajedzie przed karczmę wóz w siwego konia. Dwóch chłopów będzie nim jechało. Niech się pan do nich przyłączy, oni zaprowadzą.

— Skąd jesteście? — spytałem go mimowoli.

— Z całego świata! — odpowiedział bardzo szorstko.

Prosiłem go usilnie, żeby wszedł do domu i nieco odpoczął.

— Nie pora! Muszę budzić, które jeszcze śpią — rzekł jakimś biblijnym tonem.

— A czy mogę zabrać żonę na misję?

— Za daleka droga dla dziedziczki. A przytem kobiecie łatwiej umrzeć, niżli dochować sekretu.

Zabierał się do odejścia.

— Zostańcie chociaż do świtu. Noc ciemna i roztopy.

— Znam tu każdy rów, a kto z dobrą nowiną śpieszy, nie zbłądzi! Spóźniłem się już, bo czekałem, aż odjadą strażnicy i ksiądz.

— Ale proboszcz będzie na misji?

— To nie nasz, to tylko taki zwyczajny parafjalny propinator! ¹⁾

Zdziwiło mnie to określenie w jego ustach, lecz nim się zdążyłem odezwać, już odszedł. Słyszałem tylko człapanie po błocie i skomlenie psów, które go odprowadzały jakoś bardzo przyjacielsko.

A nazajutrz, w samo południe, przebrawszy się odpowiednio, aby nie zwracać na siebie uwagi, kazałem założyć do bryczki fornalską, mocną szkapę i pojechałem. Przed domem stał wóz, zaprzężony w siwka, i siedziało dwóch chłopów, a skorom dojechał i chciał wyminąć, ruszyli przodem, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi.

Drogi były okropne, wyboiste i podobne do dna bagnistych rzek. Jechaliśmy noga za nogą, omijając wsie i takimi krętymi wertepami, że po jakimś czasie zupełnie przestałem się orjentować.

A wbrew moim przewidywaniom, dzień był bardzo piękny, prawdziwie wiosenny: świeciło słońce, śpiewały skowronki, polśniewały szeroko rozlane wody na łąkach, a miejscami, na cieplejszych gruntach, już ruszały oziminy.

Przed jakąś wsią ogromną, nad którą wynosiły się zielone kopuły cerkwi, przystanęli moi przewodnicy, a jeden zawołał do mnie:

¹⁾ Propinator (z łac.) — dzierżawca karczmy z wyszynkiem trunków; parafjalny propinator — nazwa pogardliwa miejscowego proboszcza.

— Na końcu wsi, po prawej ręce, ostatnia chałupa.

Skręcili na boczną dróżkę, a ja śmiało wjechałem do wsi.

Na drodze, z obu stron obudowanej domami, było pełno kałuż, przedświątecznego rwetesu i psów, które mnie przeprowadziły zajadłem szczeniem. Przed cerkwią, przerobioną z kościoła, stał strażnik, przyglądający mi się tak uważnie, że mimowoli zaciąłem konia do pośpiechu. Zauważyłem też, że z wielu domów wyjeżdżano w pole z pługami a bronami na wozach, co wydało mi się dziwnem, gdyż grunty mieli niskie, i jeszcze wszędzie po bródach siwiał stojące wody. Pod jakimś domem na kupie bali siedziało paru chłopów, i kiedym ich wymijał, podnieśli się, rzucili mi: «Pochwalony» i pociągnęli za mną. Wieś ciągnęła się ze dwie wiorsty, i kiedym się wreszcie znalazł na końcu wsi i zacząłem się rozglądać za ostatnią chałupą, jeden z chłopów, idących za bryczką, powiedział półgłosem:

— Strażnik idzie za panem! Trzeba skrócić na prawo, przejechać koło chałupy, a zawrócić za budynkami koło stodoly! — I przeszedł, nie zatrzymując się ani chwili.

Zjechałem nabok. Wąska dróżka, obsadzona gęsto wierzbą, wiodła obok wielkiego domu, stojącego w takim gęszcu drzew, iż ledwie majaczyły bielone ściany i poszycia dachów.

Obejrzałem się nieznacznie: strażnik przycisnął się na skrócie, pilnie mnie z poza drzew obserwując, a chłopci maszerowali gęsiego ku lasom niedalekim.

Podjechałem bliżej, wypatrując już z pewną niecierpliwością jakiego bądź wjazdu. Ale cały dom wydał mi się jakby opuszczony, okna miał zasłonięte słomianymi matami, drzwi zawarte i bramę w płocie zamkniętą na kłódkę, a chociaż bardzo głośno popędzałem konia i trzaskałem z bata, nikt się nie pokazywał, nawet pies nie zaszczekał. Aż dopiero, kiedy skręciłem za stodołę, otwarły się naraż jakieś wrota i, skorom w nie wjechał, zatrzasnęły się natychmiast, zaś stary, siwy chłop, który mi otwierał, rzekł dobrotliwie:

— Konia można postawić pod szopą. — I poszedł, nie troszcząc się o mnie więcej.

Stało już tam kilka tęgich mierzynków ¹⁾. Poszedłem z ochotą. W izbie było prawie ciemno, zasłonięte okna przesączały bardzo mało światła, ale w czerwonych brzaskach komina dojrzałem kilkanaście osób, siedzących pod ścianami. Nikt mnie jednak nie powitał, jakby nie zauważyli mojego wejścia, tylko coś ciszej zaszeptali między sobą, i poczułem, że mnie okrążają badawcze, nieufne spojrzenia. Próbowałem zawiązać rozmowę. Odpowiadali bardzo niechętnie, zbywająco. A kiedy zacząłem dość natarczywie rozpytywać się o misję, odpowiedział mi któryś niecierpliwie:

— Jak przyjdzie pora, to wiadomo będzie.

Dopiero kobieta, widząc moje odosobnienie, objaśniła ich, kto jestem.

Wyciągnęły się do mnie twarde dłonie, ktoś dorzucił gałęzi na komin, światło buchnęło na całą

¹⁾ Mierzyn, mierzynek -- koń roboczy.

izbę, a ja mogłem się przyjrzeć zebranym. Nikogo jednak nie znalazłem osobiście, ale dobrze znałem ten typ bohaterski, te surowe a pełne dobroci twarze, te oczy nieulekłe i te męczeńskie głowy «opornych».

— Chyba obcy tutajby nie trafił! — powiedziałem, witając się z każdym z osobna.

— Ale zawsze trzeba ostrożnie. Zły człowiek, jak smród, wszędzie się wciśnie.

— Trzeba się nieraz strzec własnego cienia.

— A to ciężko się uchronić! Mało to «duszołapów» ¹⁾ węszy za każdym opornym!

Parę dni temu wyniuchali ²⁾ Michała Klimiuka z Wisznicy.

— Co się stało? — odezwały się strwożone głosy.

— A wzięli go! Bo to, panie, za ślub katolicki! — zwrócił się do mnie. Brał go jeszcze jesienią w Krakowie. Po powrocie ona, że to pochodziła z drugiej gminy, zgodziła się do męża niby to za służącą, i żyli sobie, jak Pan Bóg przykazał. Aż tu którejś nocy strażnicy przycapnęli ich razem, przetrzęśli całą chałupę, że nawet poszycia pozdzierali z dachów, i znaleźli ich ślubną metrykę! Co się im przytem zaraz dostało, to Bóg jeden wie. Ją związali, jak barana, i popędzili do gminy oddać ojcu, a jego powieźli do powiatu. A teraz każą mu drugi ślub brać w cerkwi!

— Chyba się na to nie zgodzi — wtrąciłem.

¹⁾ Łowców dusz; jest to aluzja do strażników, szpiegujących unitów; ²⁾ wyniuchać (gwar. lud.) — wywęszyć (much w gwarze oznacza żartobl. nos).

— To z twardego gatunku człowiek. Matkę jego tak nawracali z Unji, aż umarła, ojciec siedzi do dzisiaj gdzieś na Syberji. To oporny z opornych. Wiedzą o tem dobrze, i słono zapłaci za swój ślub, i przeróżnych bied się nasmakuje.

Rozgadali się i zwolna, prawie mimowoli, spokojnie i bez skarg, bez krzyków i jęku, jęli się wypowiadać przede mną ze swoich zwykłych, codziennych trosk, ze zwykłych, codziennych, systematycznych znęcań się nad nimi, z kar, płaconych za wszystko: za ochrzczenie dziecka i za nieochrzczenie, za pogrzeby, odprawiane nocą, ukradkiem, za śluby i spowiedzi, za samo wejście do kościołów, z ciągłych udręczeń, prześladowań, wędrówek po sądach, komisjach i więzieniach, z wiecznych a daremnych poszukiwań sprawiedliwości, z tych nieskończonych nocy, spędzanych we łzach, i z tych dni wiecznego lęku, zgryzoty i cierpienia.

Znałem przecież ich życie, ale, słuchając tych cichych, monotennie smutnych opowiadań, pełnych nieustającej walki, nieznanych bohaterstw, niezachwianej wiary i bezgranicznego poświęcenia, zdawało mi się, że gromada chrześcijan z czasów Dioklecjana opowiada mi swoje krwawe, wstrząsające dzieje...

Ale tamci umierali tylko za wiarę, a ci giną i za ojczyznę...

I każdy z nich tak żył, każdy tak cierpiał i każdy tak samo walczył przez całe życie.

A przecież ten bój ciągnął się długie, długie lata i bez przerwy, ni miłosierdzia.

Całe wsie poznikały z powierzchni ziemi, pogi-

nęły całe rody, całe pokolenia dawały wszystką krew i wszystek żywot, ale pozostali nie ustąpili, nie za-błagali o litość, a zapomniani, wyszydzani, biedni, pogardzani, w ponurej grozie opuszczenia walczyli dalej, bez wytchnienia, z jednakiem wciąż męstwem, nieulekli jednak i jednako niewyciężeni.

Siedziałem jakby zmartwiał; płacz sączył się z tych opowiadań, dymiły krwawe opary, i cały dom zdawał się napępniać szlochaniem, gdyś ktoś odezwał się głośno:

— Aby tylko nie było gorzej! Bo ciężko, strasznie ciężko...

— Przetrzymaliśmy tyle czasu, to przetrzymamy, dokąd się Panu Jezusowi podoba.

— A może się odmieni! Powiadają, że po wojnie z Japonem nastaną lepsze czasy.

Pogadywali, snując nieśmiałe, lękliwe nadzieje. Rozmowa wkrótce przeszła na wojnę. Zaczęli się mnie rozpytywać o szczegóły tak usilnie, że musiałem opowiadać niemal o każdej większej bitwie. Słuchali z niezmiernem skupieniem: posępne twarze zaczęły się ożywiać i promienieć uśmiechami dziwnej radości; ale w najgorętszym toku opowiadania ktoś mi przerwał:

— Ot, i kara Boska na opamiętanie!

Naraz jakaś zasłuchana kobieta wybuchnęła spazmatycznym płaczem, wyznając wśród szlochań i jęków, że jej syn zginął na wojnie.

Pomilkli, zwieszając smutnie głowy, twarze pokurczyły się boleśnie, a w niejednym oku zabłyśły łzy, gdyż prawie każdy miał kogoś bliskiego w szeregach walczących. Dopiero jakiś starzec z ró-

żańcem na szyi przerwał milczenie i, klękając przed obrazami, rzekł uroczyście:

— Należy się im szczerzy pacierz, bo nie za swoją umierają.

Przyklękli wszyscy, i zaszemrały gorące szepty modlitwy.

A ledwie co się podnieśli z klęczek, ktoś wszedł do izby i zawolał:

— Zbierać się! Pora już w drogę!

Naciągnąłem burkę pośpiesznie, gdy przystąpił do mnie ten chłop z różańcem na szyi i, patrząc mi w oczy, powiedział z naciskiem:

— Pan chce z nami na misję, a tam się może zdarzyć Bóg wie co...

Obejrzałem się po izbie. Było pełno. Wpatrywali się we mnie nieprzeniknionemi oczami.

— Pojadę z wami, gotów jestem na wszystko! — powiedziałem krótko.

Nikt się już nie odezwał, ściskali mi rękę, zabierali z kąta baty i wychodzili.

Noc była na świecie, i chłodnawy wiatr pociągał z pól, gdyśmy wyjechali za stodołę, zmierzając prosto ku borom, czerniejącym na horyzoncie, niby opadła nisko chmura. Jechałem na drugiego. Przede mną, na pierwszym wozie siedziało trzech chłopów, a za nami musiał ciągnąć spory szereg wozów, bom nie mógł dojrzeć końca.

Noc była bardzo ciemna, chmury przysłaniały niebo, brał lekki przymrozek, gdyż błoto chlupało pod kołami. Jechaliśmy wolno i w głębokiem milczeniu. Gdzie niegdzie we wsiach, zatopionych w ciemnościach, przeblyskiwały światelka, czasami

wiatr przynosił naszczekiwanie psów, jakieś dalekie echa turkotów, a niekiedy parskaly konie. Wjechaliśmy wreszcie na szosę i, nie żałując bata, ruszyliśmy z kopyta, aby się tylko dostać do lasu, który wyrastał przed nami coraz bliżej.

Głębokie, zarośnięte krzakami rowy ciągnęły się z obu stron drogi.

Naraz w ciszy rozległ się głos rozkazujący:

— Stać!

Ktoś wyskoczył z pierwszego wozu i przypadł twarzą do drogi.

Cały szereg jakby zamarł na miejscu. Nasłuchiwałem z zapartym tchem... gdzieś, jeszcze dosyć daleko przed nami, rozlegał się ledwie dosłyszalny turkot.

— Powóz we cztery konie! Bóg wie, kto może w nim jechać! Do rowu z wozami! Niech tylko pan dziedzic zostanie i rusza wolniuszko! — padła cicha i mocna komenda.

Zatrzeszczały krzaki, chlupnęła woda, i po chwili nie było już na szosie nikogo.

Ruszyłem stępą. Turkot był coraz bliższy. Wkrótce zamigotały latarnie, i było słyhać uderzanie kopyt i brzęk uprząży, a w parę minut później, przesunął się koło mnie powóz, zaprzężony w cztery konie; siedziało w nim parę osób, rozmawiających po rosyjsku, ale w ciemnościach nie mogłem rozróżnić ani jednej twarzy.

— Żandarmi, panie! Wybrali się na jakieś polowanie. Nie trzeba o tem mówić, poco się mają płoszyć! — szepnął mi ten sam głos, gdy powóz już zginął w oddaleniu.

Skręciliśmy na drogę, biegnącą samym brzegiem lasu. Zapaliłem papierosa.

— Zgasić! Mógłby kto zobaczyć ze szosy!

Zdążyłem tylko zobaczyć na zegarku, że było już po dziesiątej.

Jechaliśmy brzegiem lasu z dobrą godzinę, a ciemność, milczenie, cichy poszum drzew, monotony skrzyp wozów i parskanie koni tak mnie usposobiły, że już na dobre zaczynałem drzemać, gdyśmy się wytoczyli na łąki, gęsto porośnięte kępami drzew i miejscami pozalewane. Otrzeźwiałem natychmiast, bo woda bluzgała z pod kół i kopyt, a spłoszone czajki zakwiliły nade mną. Potem wjechaliśmy na jakiś szeroki wygon, niezmiernie grząski, wyboisty i pełen kałuż. Potem staliśmy dosyć długo na jakichś rozstajach pod krzyżem, gdzie już czekały sznury wozów i mnóstwo ludzi, a wciąż jeszcze było słyhać nadjeżdżających.

Wielki las czerniał tuż przed nami, jak mur.

Zrobiło się nieco jaśniej, zaczęły przebłyskiwać gwiazdy, a z wiatrem nadpłynęły jakby dalekie echa ligawki ¹⁾.

— Ruszać, a nie rozwłóczyć się! — zabrzmiała cicha komenda.

W parę minut dosięgliśmy czarnej ściany lasu, i znowu przystanęli, gdyż z pod drzew rozległ się jakiś ostry i groźny głos:

— Kto jedzie?

¹⁾ Ligawka — długa trąba. najczęściej drewniana. używana przez pasterzy w celu oznajmienia gospodarzom, że bydło już wyrusza na paszę.

— Swoi! Swoi! — zerwały się niecierpliwe wołania.

— Tu niema przejazdu; grobla rozmyta, most zabrały wody. Zawracajcie!

— Jechalim z nadzieją, to może przejedziemy! — zagadał poważnie pierwszy wóz.

— Tak-że mi powiadajcie! A toż i strażniki umieją krzyknąć: «Swoi!»

Słowo «z nadzieją» było umówionem hasłem, jak się później dowiedziałem.

Odezwał się znowu długi, przeciągły jęk li-gawki, i wjechaliśmy w las; ugięły się pod bryczką jakieś dyle, koń mój zaczął się wspinać i chrapać, ale szczęśliwie przejechałem silnie rozklekotany most i literalnie utonąłem w ciemnościach. Wyniosły, zwarty bór okrył nas jakby czarnym płaszczem; nie było widać nawet końskiego zadu, a białe pnie brzoź majaczyły, jak przez sen. W jakimś miejscu musiałem zesiąść i prowadzić konia za uzdę, bo ślizgał się i rzucał na grobli, wyłożonej okrągłakami, które zapadały się pod kopytami, jak klawisze; grzązłem niekiedy w błocie po kolana, tłukłem się o drzewa i musiałem iść cały czas chyłkiem, aby się uchronić od smagania gałęzi. Wreszcie wywlekliśmy się na suchsze miejsce. Poczułem twardy grunt pod nogami, a nad głową zobaczyłem gwiazdy i czuby drzew, rozstrzępione w czarne pióropusze.

— Wstrzymać konie i nie ruszać się z miejsca! Musimy przepuścić pieszych — rozkazano.

Przystanąłem, i wkrótce podniosły się dookoła mnie szept i ostrożne, miarowe stąpania. W ciemnościach, jakie zalegały, zaledwie mogłem dojrzeć

słabe i niewyraźne zarysy jakichś cieniów, ale długo słyszałem trzaski gałązek pod nogami i głuche dudnienie kroków tych tysięcy, przechodzących nieskończoną procesją, że zwolna bór napelnił się cichym, rozedrganym pogwarem, jakby belkotem wód, napływających wzburzonymi falami, aż zestrachane konie zaczęły tu i ówdzie szarpać uprzęże i tłuc się o wozy; a oni wciąż szli a szli; szmer wzmagał się chwilami, to przycichał i oddalał się, spływając bezustannie w jednym kierunku, gdzieś w głąb lasów...

Nie wiem, jak długo to trwało, ale wkońcu już mi się zaczęło wydawać, że cały bór się chwieje, porusza i płynie wraz z tą niedojrzaną, potężną falą...

Niedaleko ode mnie rozbłysło nagle ognisko i, wciąż podsycane gałęziami, wybuchało coraz potężniejszymi słupami płomieni. Setki ludzi kręciły się w krwawych brzaskach. Poszedłem się ogrzać, bo zimno było przejmujące; ktoś mi ustąpił miejscy i rzekł bardzo przyjaźnie:

— Niech się pan dobrze ugrzeje, bo do rana jeszcze daleko.

Przypiekałem się też z prawdziwą przyjemnością; ogień huczał wesoło, niekiedy sypnął deszczem iskier, niekiedy z trzaskiem rwał się wgórę i buchał płomienistą, rozwichrzoną grzywą aż do czubów drzew, a dokoła ciżbiły się¹⁾ rdzawe pnie sosen twardą i nieprzejrzaną gęstwą, wśród której mrowili się ludzie, szeregi wozów i koni.

Obok mnie rozmawiano półgłosem.

— Nie zdążą prędzej, niżli na świtanie.

¹⁾ Ciżbiły się (ciżba) — tłoczyły się.

— Byle ich w drodze nie spotkało co złego.

— Na uroczysku ¹⁾, tam sucho, i dostęp tylko z jednej strony. Strażniki nie trafią!

— A niech tropią: bagno głębokie... nie wyda.

— Trzeba się nam będzie niezadługo zabierać, kobiety już musiały dojść.

Umilkli nagle, gdyż zjawił się jakiś chłop i zaczął krzyczeć:

— Zgasić ogień, a toć lunę widać aż na polach!

W mgnieniu oka zawalono ziemią ognisko i zadeptano, a po chwili ruszyliśmy w jakimś znowu niewiadomym dla mnie kierunku.

— Czy to jeszcze daleko? — spytałem jakichś cieni, przechodzących obok bryczki.

— Niebardzo, za jakie dwa pacierze staniemy na miejscu.

Nie mogłem już dojrzeć gwiazd. Nad głowami tylko szumiały cicho drzewa, i w leśnych mrokach rozlegały się przytłumione rozmowy i ciężkie odgłosy kroków. Jechaliśmy gęsiego i noga za nogą przez takie błota, topiele i trzęsawiska, że zaledwie w godzinę zdołaliśmy się przedostać na jakieś niewielkie wzgórze, dosyć rzadko porośnięte rozłożystymi drzewami, a otoczone nieprzebytem bagnem i wodami.

— Chwała Bogu, jesteście już na miejscu! — zawołał ktoś z radością.

Na wzgórzu płonęło kilkadziesiąt bujnych ognisk, i wrzało jak w ulu, a gdzieś w samym środku

¹⁾ Uroczysko — miejsce odludne, tajemnicze.

obozowiska chwiały się zapalone łuczywa i trzaskały siekiery.

— Stawiają ołtarz i co potrzeba -- objaśnili mnie.

— A czy księża już są?

— Dopiero nade dniem przyjadą.

Dałem koniowi obroku i poszedłem między ludzi.

Dochodziła już trzecia, i do świtu było jeszcze daleko, a że przytem zimno przejmowało mnie coraz dokuczliwiej, więc dosyć długo włóczyłem się między gromadami, porozkładanemi dokoła ognisk, aż, spotkawszy znajomych chłopów, przysiadłem do nich na gawędę i dopiero się dowiedziałem, że jesteśmy w Kolembrodzkich lasach ¹⁾, które zrałem tylko ze słyszenia.

— Sporo ludzi się zebrało! — zauważyłem, gdy rozmowa osłabła, i zaczynali drzemać.

— Powinno być przeszło pięć tysięcy. A przytem szli sami wybrani, sami najbardziej potrzebujący księdza i nabożeństwa.

— A nie wytropią nas tutaj?

— Straże pilnują po wsiach najbliższych, po drogach i pod lasem, a reszta w Boskich ręku ²⁾. Nikt się tu nie dostanie, ani stąd nie wyjdzie bez pozwolenstwa! ³⁾ Droga przekopana i mosty pozdejmowane.

— A jakże dostaną się księża?

¹⁾ Kolembród a. Królów dwór — wieś w pow. radzyńskim (woj. lubelskie); ²⁾ 7 przyp. l. mn.; ³⁾ pozwolenstwo (gwar. lud.) — pozwolenie.

— Przez mokradła, ale takim przejściem, o którym tylko wie stary Lewczuk Gęsi. On też po nich pojechał i przeprowadzi.

Rozmowa jednak rwała się coraz bardziej, gdyż moi sąsiedzi, poukładawszy się pokotem przy ognisku, zasypiali jeden po drugim, aż wkońcu i ja okręciłem się szczerzej w burkę, przywarłem do najbliższych pleców i natychmiast zasnąłem.

Obudziły mnie pierwsze świtania i przeciągły krzyk jakichś ptaków, ciągnących długim sznurem nad lasami. Na szarem tle nieba czerniały niewyraźną masą wierzchoły drzew, a ziemię zasypywał sinawy brzask świtów. Było niezmiernie cicho, tak cicho, że słyszałem opadanie rosy i miarowe, niezliczone oddechy śpiących.

Poszedłem zajrzeć do swojego konia; całe obozowisko było jakby wymarłe, ludzie leżeli pogrążeni w głębokim śnie, tylko chrapania rozlegały się tu i owdzie, a z przygasłych ognisk snuły się wiotkie pasma dymów.

Przy wozach podnosiły się na mnie ciężkie, czuwające oczy, a ktoś rzekł:

— Już nadchodzą, paniel — i wskazał ręką na wschód.

Nad bezbrzeżnem morzem szarości dojrzałem tylko roztlewające zorze, i słyhać było dalekie kwakanie dzikich kaczek.

— Krzyczą, bo je spłoszyli. Tamtędy idą! Trzeba już ludzi budzić — dodał, powstając.

I wkrótce całe uroczysko, spowinięte jeszcze w mroki, zaledwie przesiane pierwszym świtem, pokryło się jakby mrowiem: tysiące ludzi poruszało się

w brzaskach wybuchających ognisk, tysiące głów roilo się w blednących zwolna cieniach i wrzało trwożnym, przyciszonym gwarem, a co chwila tysiące rozpalonych spojrzeń podnosiło się oczekująco ku wschodowi.

Aż wreszcie po długiem, męczącym oczekiwaniu rozległy się wołania:

— Już są! Przyszli! Zbierać się! Pod ołtarz!

Dałem się porwać jakby falom, skłębionym gwałtownie, i zanieść na środek wzgórza, gdzie czerniał już zdaleka ogromny namiot, zrobiony z kilimów¹⁾.

Z wielu stron podniosły się krótkie i mocne rozkazy:

— Rozstąpić się! Kobiety i dzieci naprzód!

Ustuchano bez szemrania, i, gdy już kobiety z dziećmi ustawiły się przed samym namiotem, za niemi zwarła się wielkiem półkołem żelazna nawała chłopów. Stanęli nieprzełamanym murem, ramię przy ramieniu i taką ciżbą olbrzymią, że nawet nie próbowałem przedostać się naprzód.

Tłum chwiał się kołysał, i niekiedy szemrał bełkotliwie, jak ten bór, stojący dokoła gęstwą szarzęjących pni, gdy naraz zapadła śmiertelna cichość, jakby skamienieli wszyscy, a wszystkie serca się zatrzęsły.

Opadły bowiem nagle skrzydła namiotu, i jawił się z mroków wysoki ołtarz, cały w jarzących światłach i kwiatach, ponad którymi wychylał się

¹⁾ Kilim (z tureck.) — kobierzec, dywan domowej roboty.

zmarłychwstający Chrystus prawie nagi, skrwawiony, w cierniowej koronie, i wyciągał ku rzeszom poprzebijane, ale przygarniające i pełne litosnego miłosierdzia ręce.

Pałacy wicher westchnień się zerwał i łzawy krzyk, i jęk serdeczny:

— Chryste! Chryste! O, Panie miłosierny!

Przycichło. Ksiądz w białym ornacie z monstrancją i kielichem w rękach wstępował zwolna po stopniach, urastał coraz bardziej, wynosił się ponad tłumy, aż zjawił się utęsknionym oczom cały w światłach, niby anioł, postawił złocistą monstrancję wysoko, u stóp Chrystusa, przyklęknął i odwrócił się do ludu.

Jak żrały ¹⁾ łan, gdy weń wicher uderzy, tak pochyliły się kornie wszystkie głowy, i jednym ruchem i z jednym westchnieniem, i uczuciem jednym tysiące padły na kolana.

Ołtarz wznosił się, jakby świetlane widzenie, zawieszone gdzieś w mrokach.

Rozpoczęło się nabożeństwo.

Niekiedy zabrzęczały dzwonki, niekiedy rozlegał się śpiewny głos księdza, i padały krótkie odpowiedzi ministrantów, niekiedy z rozkołysanej kadzielnicy rozpyływały się pachnące dymy, i złocista monstrancja unosiła się nad pochyilonemi głowami, a niekiedy zapadało głębokie milczenie, i było tylko słyhać jakby szmer łez, nieustannie spływających po twarzach, gorące westchnienia, przesuwanie różańców i krótkie, urywane słowa pacierzy.

¹⁾ Żrały (gwar. lud.) — dojrzały.

Modrawy świt roztrzęsał¹⁾ się nad uroczyskiem, niebo stawało się coraz jaśniejsze, z moczarów odzywały się kwilenia czajek i krzyki dzikiego ptactwa, bór się zakolebał²⁾, rozgędził³⁾ na chwilę i przycichnął i, pochylony, jakby się wsłuchiwał w rozdrgane szmery modlitw, w rozelkaną pieśń powstrzymywanych płaczów, skarg i jęków...

Szare mgły, wypelzłe z bagnisk, zaczęły pokrywać klęczących niby szronem, że całe to znieruchomiałe morze ludzkie widniało jakby pole, zorane w twarde i niezliczone skiby głów, ponad którem wynosiły się tylko światła ołtarza i Chrystus, wyciągający litościwie ramiona.

Tuż za mną posypały się ciche, prędkie i trwożne szepty:

— Podobno wojsko idzie na nas z Białej, kozacy i piechota!

— Jezus Marja! Święty Józefacie!

— Dali znać ze szosy, jakiś Żyd im powiedział.

— Cicho, teraz nabożeństwo! — odezwał się ktoś karcąco.

— A niech przyjdą i niech nas wezmą! — podniósł się surowy, mocny głos.

I ani jeden nie zerwał się do ucieczki, ani cienia przestachu nie dojrzałem na żadnej twarzy, pomilkli natychmiast, a tylko tu i owdzie na mgnienie błysnęły oczy, zatrzęsły się wargi, a złożone dłonie zaciskały się w pięści, i modlili się dalej w głębokim spokoju i ufności.

¹⁾ Roztrzęsać (gwar. lud.) — roztrząsać; ²⁾ zakolebał (gwar.) — zakolysał; ³⁾ gędzić (gwar.) — grać.

Byłem prawie pewien, że to fałszywa wiadomość, ale mimo to nie mogłem się uspokoić i bezwiednie oglądałem się na wszystkie strony, aż mi ktoś szepnął do ucha:

— To nieprawda! Niech się pan nie boi, a drugich nie straszyl!

Mgły opadły, dzień rozlewał się pogodny i rzeźwy, moczary zadymiały, jak trybularze ¹⁾, bór zaszebrał porannym pacierzem do nadchodzącego słońca, i głośniej zaśpiewały ptaki, a w modrawem, zimnem świetle wyraźnie było widać gęstwę niezliczoną głów, zatopionych w żarliwej modlitwie, wzniesione w zachwyceniu ręce, anielskie uśmiechy, twarze wniebowzięte, oczy, pełne niezgłębionego uniesienia, rozchylone i oniemiałe w ekstazie usta, że już wszystkie dusze zdawały się omdlewać z nadmiaru czucia i płynąć jakby w jakieś raje niewysłowionej szczęśliwości.

Dosyć czasu upłynęło w takiej modlitewnej ciszy i skupieniu, gdy zaroily się wśród klęczących zapalone świece, i zawrzały naraz wszystkie dzwonki.

Zaczęło się Podniesienie, a kiedy ksiądz wzniosł wysoko monstrancję, runęli wszyscy na twarze, zerwały się szlochy, westchnienia i krótkie, rozpalone krzyki, przenajświętsze głosy serc, padających w proch przed Bożym majestatem.

— Niech teraz przyjdą i spróbują brać! — odezwał się ktoś z boku, gdy znowu spłynęło milczenie na pochylone kornie głowy.

¹⁾ Trybularz — ręczna kadzielnica kościelna.

Nie było czasu na odpowiedź, bo ksiądz, ledwie już dojrzany w kadzielnych dymach i brzaskach światła, odwrócił się do ludu z monstrancją i donośnym, jak dzwon, głosem, zaintonował suplikacje ¹⁾.

Nigdy w życiu nie zapomnę tej chwili.

Lud powstał z klęczek, pochwycił żarliwemi ustami świętą melodję i zawtórował takim wstrząsającym głosem, aż zadrżały drzewa, i rosisty grad posypał się na głowy.

Śpiewali jakby zapatrzeni w złociste blaski monstrancji, czy też we własne dusze, nie wiem, wiem tylko, że te głosy tysięcy były jednym, jak świat ogromnym głosem, były pieśnią milionów, były wołaniem najtajniejszych głębin człowieczych, były żalnym jękiem przyziemnego bytu u bram nieśmiertelności, były krzykiem ziemi zapomnianej do Boga, do Boga miłosierdzia i miłości.

Każda dusza zawodziła przed Panem gorzką pieśń życia, każda dusza skarżyła się żalnym płaczem i każda dusza żebrała o zmiłowanie.

Niby krze ²⁾ ogniste, wybuchnęły serca i śpiewały całą nieukojoną męką, wszystką wiarą, wszystką miłością i wszystką mocą żywota śpiewały. Huragan ³⁾ głosów odrywał się zwolna od ziemi, bił w niebo, huczał coraz potężniej i rozlewał się coraz ogromniej, jakby ponad całym światem, jakby już wraz z niemi śpiewały wszystkie bory i ziemie, i wo-

¹⁾ Suplikacje (z łac.) — kościelna pieśń religijna: «Święty Boże»; ²⁾ kierz, l. m. krze — krzak; ³⁾ huragan — gwałtowny wichor, burza z wichrem.

dy, i nawet to słońce, które wyzierało czerwoną żre-
nicą, i stwór wszelaki...

Dopiero po skończeniu mszy pomilkły śpiewy.

A po krótkim odpoczynku i po przybyciu paru
księży, najdziwaczniej poprzebieranych, rozpoczęła
się właściwa praca misyjna.

I cały dzień ołtarz jarzył się zapalonemi świe-
cami, cały dzień oblegały go tłumy rozmodlonych,
i cały dzień, prawie bez przestanku, księża nauczali,
słuchali spowiedzi, komunikowali, dawali śluby
i chrzcili.

Przeszło pięć tysięcy osób czekało na to
z upragnieniem.

Byli tacy, którzy dwadzieścia mil przyszli, prze-
kradając się lasami, jak wilki.

Byli tacy, których chrzczono, dawano im ślu-
by i zarazem chrzczono ich dzieci.

Byli tacy dorośli, żonaci, dietni, którzy po raz
pierwszy w życiu widzieli mszę.

Byli i tacy, a takich znajdowało się najwięcej,
którzy za każdą mszę wysłuchaną, za każdą spo-
wiedź, za ochrzczenie każdego dziecka, za wzięcie
ślubu, za polski pacierz i za polską książkę brali
kije, płacili kary i całe miesiące przesiedzieli w wię-
zieniach.

A jednak wszyscy przetrwali.

Cisi, prości, spokojni, wierni, a niezłomni i nie-
zwyciężeni.

Taki jest, panie, nasz lud na «Czerwonym Pod-
lasiu».

Skala, w którą przez czterdzieści lat biły całe
huragany piorunów i nie zmożli, przetrzyma i wy-

odrębienie Chełmszczyzny¹⁾, i nowe prześladowania; przetrzyma wszystko i wszystkich...

Zakończył opowiadanie p. R.

Konie czekały już na mnie przed gankiem, ale zaledwie wszedłem do bryczki, zaczął padać drobny i zimny deszczyk, a p. R., rozejrzawszy się po zasępionem niebie, zawołał:

— Dzisiaj św. Jana; wie pan, co lud prorokuje, kiedy deszcz pada w tym dniu?

Jak się Jaś rozplacze,
Mama nie utuli,
To będzie padało
Do świętej Urszuli.

Ale pomimo tej mokrej przepowiedni ruszyłem w głąb «Czerwonego Podlasia».

.

II.

Deszcz jednak ustał, i wkrótce po południu wyrzało blade, anemiczne słońce, a nisko pochylone zboża i trawy rozblysnęły siwemi rosami. Droga była szeroka, polska, miejscami piach, miejscami błoto po osie, a miejscami wyboje i kałuże na pól chłopa.

¹⁾ Po ukazie tolerancyjnym r. 1905 lud chełmski gromadnie porzucił prawosławie (por. str. 3 uw. 2). Mszcząc się na unitach za tę wierność ich względem kościoła katolickiego, rząd rosyjski obmyślił i przeprowadził w parlamencie petersburskim, czyli t. zw. dumie, akt prawodawczy. zwany wyodrębnieniem Chełmszczyzny, polegający na wydzieleniu tej ziemi z Królestwa i przyłączeniu jej do cesarstwa rosyjskiego.

Kraj płaski, równy jak stół, przestronny; oczy lecą, niby ptaki, w cały ogromny świat, lecą daleko i radośnie, aż za przemglone, niebieskawe krańce nieba. Zboża zielonem morzem pokryły ziemię, jak okiem dosięgnąć, wiatr pieszczotliwie przegarnia płowe, cicho szumiące zagony, a nad niemi tu i owdzie bielą się ściany domów, śpiewają skowronki, kołyszają się samotne drzewa i błyskają kopuły cerkiewek.

Wsie rzadkie, ukryte w gęstwach sadów, znaczą się tylko słupami dymów.

Gdzie niegdzie wśród łąk, porozrzucanych, niby barwne kilimy, wśród łozin i czarnych olch, srebrzą się kręte wstęgi rzeczulek, patrzą siwe oczy stawów, czajki zawodzą lekliwie i spacerują bociany.

A nad drogami dumają stare, pochylone sosny z obrazkami, to wierzby rosochate przysiadły, niby kumy, to krzyże wyciągają białe ramiona, lub stoi dąb prawieczny, podarty piorunami.

Po wzgórkach piaszczystych i nagich leżą cmentarze, zasadzone gąszczem olbrzymich krzyżów, pochylonych na wszystkie strony, jakby w niemem wołaniu ku wsiom i domom.

Bardzo rzadko spotykamy wozy, a jeszcze rzadziej przechodzi drogą jaki człowiek, przygląda się badawczo i wymija mnie bez słowa. Przejeżdżam wielkie, doskonale zabudowane i prawie puste wsie, bo nawet dzieci uciekają strachliwie w pola, a tylko z poza węgłów i drzew śledzą mnie jakieś nieufne spojrzenia, i psy zajadle naszczekują.

Milcząco i dziwnie sennie poruszają się ludzie po zagonach. Nigdzie nie zrywają się wesołe pokrzy-

ki, nie wrzeszczą dzieci, nie rozlega się śmiech i nie rozdzwania piosenka.

Tylko melancholja i łzawy smutek płynie z tych pól niezmiernych. A na każdym kroku stoją święte figury, kapliczki, gdzie Marje w niebieskich szatach i złotych koronach wyciągają miłosierne ręce, Jany Nepomuceny, Chrystusy w cierniowych koronach, i nowe, białe pomalowane krzyże, przystrojone w powiędłe wience, kwiaty i różnokolorowe wstęgi.

— Dużo nowych krzyżów! — odzywam się do woźnicy, który przed każdym żegna się pobożnie i czapkę zdejmuję.

— A sporo, bo jak tylko nastalo «polactwo», to pracowali nad niemi dniami i nocami, żeby nstawiać jak najwięcej.

— I tak ładnie przystrojone.

— Bo ubrali je na ten dzień, kiedy to po wszystkich kościołach odprawiało się nabożeństwo na intencję nieodłączania Chełmszczyzny.

— Byliście na tem nabożeństwie?

— Jakże, przecież cała wieś poszła, nawet i prawosławni nie zostali w domu.

— Widzę, żeście i wy katolik.

— Ja prawosławny! — odpowiedział.

— A chodziecie do kościoła?

— Moi rodzice i starszy brat już Polaki, a ja nie jestem jeszcze pełnoletni.

Przerwał nagle i tylko już odpowiadał, ale bardzo niechętnie i wymijająco, zaczął mi niedowierzować, bo często łapałem jego nieufne spojrzenia.

— Pan pewnie z Chełma? — rzucił lekceważąco przez ramię.

— Nie, z Warszawy! — zdziwił mnie gniewny akcent jego głosu.

Uśmiechnął się tak wątpiąco, że dałem spokój przekonywaniom, ale niedługo wytrzymał, kręcił się na siedzeniu, zaciął konie, przyglądał mi się z pod oka i, gdyśmy już dojeżdżali do jednego z moich etapów, zagadnął znowu tym samym gniewnym i wzgardliwym tonem:

— A gdzie jechać?

— Do wójta.

— Czy do tego niezatwierdzonego?

— Do niego właśnie jadę.

Twarz mu się rozjaśniła, spojrział na mnie życzliwiej i zaczął się tłumaczyć:

— Bo tyle teraz kręci się po wsiach różnych ludzi, co to i po polsku mówią, i przed kościołami się żegnają, i polską wiarę chwalą, a potem to namawiają do podpisów za odłączeniem. U nas we wsi był taki jeden, jeszcze na jesieni. Do djaka przyjechał w goście ¹⁾, a po wsi całe dni spacerował, do chałup zaglądał, każdego zagadywał, bakę świecił ²⁾ i niby to pod sekretem rozpowiadał, że mają dworskie ziemie podzielić między chłopów. Nasi niebardzo wierzyli, bo jakże to można za darmo co dostać, ale zaklinał się na wszystkie świętości. A po nim zjechali jacyś panowie z urzędu, przykazali sołtysowi ludzi zwołać i to samo powiedzieli. Jakiś pewnie starszy od całej wsi napisał prośbę i kazał się

¹⁾ W goście (gwar. lud.) — w gościnę; ²⁾ bakę świecić — pochlebiać, nadszakiwać.

pod nią wszystkim podpisywać, a straszył, że który się nie podpisze, to gruntu nie dostanie.

— I dużo się podpisało?

— Ziemia łakoma rzecz, a żaden nie ma jej za wiele, to i sporo się podpisało, nawet i z pomiędzy katolików. Dopiero potem, kiedy się pokazało, że prośba była nie o ziemię, ale za odłączeniem od Polski, niejeden gorzko zapłakał i łbem bił o ścianę. Niektórzy nawet pojechali odbierać tę prośbę, ale... wydrą tam z gardła wilkowi. Jeszcze się z nich wyśmieli, a djak jak sobie podpił, to po całej wsi krzyczał, jako nareszcie będzie już koniec polactwu, że wnet wygonią panów i księży, a który chłop nie zostanie prawosławnym, to pójdzie z torbami. Ale psie głosy nie idą pod niebiosa. Prawda, panie?

Słońce zachodziło, gdyśmy wjeżdżali do wsi, obok cerkwi, przerobionej z kościoła i stojącej na wzgórk, w wieńcu olbrzymich lip i klonów.

Zajechalіśmy pod duży, biały dom, stojący nieco w głębi; przed gankiem wynosiła się potężna grusza, obwisała od owocu, a z boków rozciągał się wielki sad.

Wójta poznałem kiedyś w Warszawie, jeszcze w dniach wolnościowych, więc przywitał mnie bardzo serdecznie i po krótkim wypoczynku zaprosił do obejrzenia gospodarstwa. Zamożność i doskonałe gospodarowanie znać było na każdym kroku; żyła sięgały do strzech i czerniały, niby bór, koniczyzny były po pas, a w podwórzu, obudowanym w zamknięty czworobok, aż roilo się od gęsi, kur, kaczek i trzody chlewnej. Cztery tęgie krowy wychodziły

właśnie na podwórze, pędzone przez maleńkiego chłopaka w płócienną, białą katance.

— Mój wnuczek! Franuś, a chodźże do nas!

Ale Franuś śmignął w inną stronę.

— Niezwyczajny obcych, to się wstydzi. A to moja córka i gospodyni! — wskazał na wysoką kobietę, idącą ze szkopkami ku oborze. — Żona umarła mi już dawno.

Zaprowadził mnie do byczka, stojącego w osobnej zagrodzie.

— Dostałem za niego nagrodę w Lubartowie na wystawie — rzekł z dumą.

Obejrzałem jeszcze jakąś dostojną maciorę, otoczoną licznym potomstwem, obejrzałem duży sad, prowadzony bardzo starannie i pełen owoców.

— Mój zięć się na tem rozumie, był we dworze przy ogrodniku.

Zwróciłem uwagę na stos bali, przykrytych spadzistym dachem.

— Na dom dla mojego najmłodszego, drzewo suche, jak pieprz.

— Czy służy w wojsku?

— Nie, panie, skończył szkołę nałęczowską, a teraz praktykuje we dworze.

Wróciliśmy do domu dopiero na kolację.

W świetlicy ¹⁾ było bardzo czysto i porządnie, łóżka miały przykrycia z prześlicznych kilimów, w rogach stały szafy, na ścianach polsniewały za szkłem święte obrazy, a pomiędzy nimi Kościuszko, Leon XIII i Kordecki. Zapalona lampa zwisała od

¹⁾ Świetlica — główna izba w domu, pokój gościnny.
Z ziemi chełmskiej.

pułapu. Pod oknem na stole leżał komplet Zorzy ¹⁾ i kilkanaście broszur rolniczych.

— Bo ja jestem członkiem kółka od samego założenia — pochwalił się skwapliwie. — Mam jeszcze trochę innych książek, ale schowane, bo strażnicy tak się do mnie znarowili ²⁾, że nieraz to nawet nocami przychodzą w gościnę.

— I pewnie dlatego nie chcą was zatwierdzić na wójta.

— A zapowiedzieli, że jak mnie jeszcze raz wybierze gmina, to znowu się przejadę. Byłem ja już na takim spacerze, byłem...

— Daleko?

— W orenburskiej ³⁾, i ledwie człowiek przywłókł kości z tej drogi!

— Musiało wam być ciężko!

— Że i na szubienicy byłoby lżej! Ale człowiecze szczęście, co dzisiaj zapomina o wczoraj, to się jakoś wytrzymało, i po manifestie ⁴⁾ wróciłem. A jak nastąpiła tolerancja, to już się zdawało, że raje się otworzyły przed nami. Bo niech pan tylko dobrze w głowę weźmie i pomiarkuje, jakeśmy to żyli na Unji! Człowiek był uważany gorzej, niżli ten zwierz najgorszy! Przez trzydzieści lat ani kościoła, ani

¹⁾ «Zorza» — znane czasopismo dla ludu, odegrało wybitną rolę w uświadamianiu i oświecie rzesz włościańskich w b. zaborze rosyjskim; ²⁾ znarowić się — tutaj w znaczeniu rozzuchwalić się, przywyknąć; ³⁾ gubernja orenburska (w Rosji wschodniej) służyła często za miejsce zesłania t. zw. przestępców politycznych; ⁴⁾ manifest carski zwykle zawierał ulaskawienie, całkowite lub częściowe, różnych kategorii przestępców.

księdza, ani spowiedzi, ani ślubu, ani pogrzebu. Człowiek rodził się, żył i umierał, jakby w tym kryminale, a tu naraz otworzyli drzwi na wolność. Nawet uwierzyć było ciężko, jakby się śniło!

— A któż was pierwszy zawiadomił o tolerancyjnym ukazie?

— Dziedzic z W... Sadziliśmy właśnie ziemniaki daleko za wsią, gdy mój najmłodszy wstrzymał konie i powiada:

— Ojciec, ktoś jedzie do nas przez pola.

Patrzę, prawda, wali konno naprzelaj jakiś człowiek z gołą głową i już coś zdaleka krzyczy i wymachuje jakimś papierem. Dziw, że się nie zatknął ze zmęczenia, ale cały ukaz mi przeczytał. Tak mnie zamroczyła ta nowina, że się nie mogłem poruszyć z miejsca. Musiał mną potrząsać, niby sнопem, aż mi się całkiem w głowie rozwidniło — i zmiarkowałem. Poleciałem zaraz na wieś, ludzie już schodzili z pól; krzyczę, rozpowiadam, czytam w głos ukaz, a ci nic, ani be, ani me, stoją, oczy wytrzeszczają i, niby porażeni, coś językami mamlą, a nikt nie rozumie ani słowa. Mieliliśmy schowany spory dzwon jeszcze z naszego unickiego kościoła, krzyknąłem na zięcia, wywlekliśmy go z dołu, powiesili na kozłach, i zacząłem bić w niego z całych sił. Przeszło trzydzieści lat nikt go nie słyszał, to i przemówił do wszystkich tym świętym głosem zmartwychwstania. Trudno powiedzieć, co się wtenczas działo. Cała wieś jakby oszalała, zerwały się takie krzyki, takie szlochy, takie lamenta, jakby w dzień sądu ostatecznego. Z radości, panie, i z wesela. Rozesłaliśmy zaraz konnych po wsiach z tą

nowiną. W maju to było, i o zmierzchu wystroili ¹⁾ pod cmentarzem ołtarz, naniesli światła, zieleni a kwiatów i do białego prześpiewaliśmy pod nim.

Byli tacy, którzy chcieli zaraz odbierać cerkiew, że to była przerobiona z kościoła.

A rano djak nam wydał schowane w cerkwi nasze dawne chorągwie, i ruszyliśmy wielką procesją ze śpiewami do parafjalnego kościoła. Wszyscy poszli, nietylko oporni, ale nawet i prawosławni; nie wiem, czy w całej wsi pozostało z pięć osób do przypilnowania inwentarza.

Zaś pop, jak zobaczył, co się dzieje, zastąpił nam drogę koło cerkwi, zatrzymywał, prosił i zaklinał, żebyśmy nie porzucali prawosławia, groził nawet, ale nikt go nie usłuchał. Mieliliśmy do kościoła przeszło siedem mil; ciągnęliśmy ze śpiewami, z rozpuszczonemi chorągwiami, z obrazami, jak kiedyś, jak przed dawnemi laty, a z każdej wsi przyłączali się do nas, że, jakby te rzeki wezbrane, płynął naród wszystkiemi drogami, a wszędzie śpiewy nasze, obrazy nasze, krzyże nasze i mowa nasza. Nieraz myślałem, co już nie dojdę i zamrę ze szczęścia. Własnym oczom nie chciało się wierzyć, jak strażnicy zdejmowali czapki przed procesją, i rozstępowali się żołnierze. Urzędników jakby nie było, i nikt nam nie przeszkadzał być tem, czem się człowiek urodził: Polakiem i katolikiem. Przez dwa dni i dwie noce kościół był otwarty naroścież, gorzały na ołtarzach światła, biły dzwony, i odprawiały się nabożeństwa; przez dwa dni i dwie noce naród sycił

¹⁾ Wystroić (gwar. lud.) — przygotować, zbudować.

zголоđniałe dusze, krzyżem leżał, modlił się i sposobił do nowego życia. Cała parafja przepisała się na polską wiarę, nawet djak przeszedł, a pop zamknął cerkiew i wyjechał. Myśleliśmy, jako się już skończyła nasza Kalwarja! Człowiek zaczął się prostować, śmiało patrzeć w oczy i żyć, jak drugie Polaki. Na całem Czerwonym Podlasiu, jak u nas przezywają te dawne unickie powiaty, zawrzało, niby w ulach. Skończyły się lamenta, i każdy, jak tylko poradził, brał się do roboty. Pomogli nam niektórzy panowie, tośmy założyli Macierz, Kółko Rolnicze, kasę, zaczęli stawiać kościół, a prawie każda wieś zgodziła sobie nauczyciela, bo już wszyscy, od starych do najmłodszych, chcieli się nauczać po polsku. Każdy rozumiał, co oświata to kij na przeróżne biedy. Tak, panie, było u nas z początku! — Głos mu naraz przycichnął, i twarz się poryła w posępne brózdny.

— Ale źli ludzie niedługo dali się nam cieszyć! Nie w smak im poszły nasze zabiegi! Wiadomo przecież, że ciemnego łatwiej wziąć na postronek. Byłoby dużo powiadać o tem — zakończył śpiesznie.

Do izby zaczęli wchodzić chłopcy ze wsi, podawali mi ręce i zasiadali w milczeniu na ławach i stołkach. Zebrało się kilkunastu, w różnym byli wieku, ale wszyscy jednakowo krępi, rozrośli w barach i ubrani w brązowe samodziały, twarze mieli krótkie, surowe, spalone na słońcu i jakby wykute z ziarzystego kamienia, nosy proste i cienkie, włosy jasne i bardzo niebieskie oczy. Wpatrywali się we mnie życzliwie, ale zarazem badawczo.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże — zaśmiał się wójt, przysłaniając okno kilimkiem.

— I pieski też warto pospuszczać — radził jakiś bardzo ostrożny.

Zaczęli się rozpytywać o wyodrębnienie Chełmszczyzny, więc na odpowiedź przeczytałem im cały ten projekt. Wysłuchali w skupieniu, dyskutując nad każdym punktem pokolei. Mówili dobrą polszczyzną, z minimalną domieszką rusycyzmów ¹⁾, jak zresztą mówi lud na całym Podlasiu i Chełmszczyźnie.

— Ale z tego projektu wychodzi ²⁾, że już postanowili pogrzebać nas żywcem! — odezwał się ponuro siwy, brodaty chłop — bo, jak nas oderwą od Polski, to przepadniemy!

— A jednak przetrzymaliście tyle lat — zauważyłem mimowoli.

— Prawda, ale tylko jednemu Bogu wiadomo, jak nam było ciężko! Przenieśliśmy wszystko, człowiek ciągle się żywił nadzieją na lepsze czasy, ale jak nas teraz odgradzą i spętają w nowe prawa, to się możemy podusić, niby kury w kojcu. Twardy jest nasz naród i wytrzymały, ale i koń więcej nie uciągnie, niżli poradzi. Już dzisiaj niejeden się trzęsie przed nowymi biedami, a co będzie, jak przyjdą?

— Nie strachajcie, Mikołaju! — zabrał głos chudy, pokurczony staruszek — nie strachajcie! — powtórzył cicho, słodko, a z wielką mocą. — Pan Bóg nas ciężko próbował, a przetrzymaliśmy, to i nasze dzieci niegorsze, też poradzą przenieść choćby i gorsze jeszcze biedy, i tak samo doczekać się lepszego! Na świecie to jak w marcu, raz deszcz,

¹⁾ Rusycyzm — wyraz lub zwrot mowy, przejęty z języka rosyjskiego; ²⁾ rusycyzm, zam. wynika.

raz śnieg, raz słońce, a zdarza się i burza z piorunami, ale kto cierpliwy, to wiosny się doczeka, bo wiosna przyjsć musi! A Pan Jezus przecież powiedział: «Kto jest poniżony, tego ja wyniosę ponad wszystkich!» Trzeba wierzyć i czekać!

— Pan może nawet nie wie, co się w naszej wsi działo? — zapytał porywczo brodaty.

— Podczas zniesienia Unji?

— Tak. Zaraz na początku 1875 roku przysłali nam całe dwie rotty wojska i rozkwaterowali po domach, i objedli nas za karę do ostatniego ziarnka!

— Przecież płacili za wszystko, mam jeszcze kwity — wtrącił wójt ze śmiechem.

— Chowamy je dla dzieci, a te insze pamiątki to już sami będziemy nosili na skórze do śmierci. Aż straszno pomyśleć o tamtych czasach! — szepnął brodaty.

— Jakże to było? — spytałem nieśmiało, widząc, że twarze kurczą się jakoś boleśnie.

— Zaś w samym piekle nie mogło być straszniej! — zaczął znowu staruszek. — Różnemi sposobami próbowali nas przerabiać na swoje kopyto, a kiedy nie pomogły prośby ani groźby, ani nawet nahajki¹⁾, to wymyślili taką sztukę, że od świtania wypędzali wszystkich na całe dnie w pole i przykazywali zgarniać śnieg rękami. A zimno wtenczas było, mrozy trzaskające i wichury lodowate! Połowa

¹⁾ Nahajka, nahaj — bat skórzany (z tatarsk. nohaj, od imienia wodza Hordy Złotej, Nohaja); nahajka stała się symbolem okrucieństwa rosyjskiego za rządów carskich.

ludzi pomroziła sobie ręce i nogi, ale żaden się swojej wiary nie wyparł! A potem wzięli się na drugi sposób: zabronili nam karmić inwentarz! To przez cały tydzień, przez wszystkie dni i noce słychać było tylko na wsi ryki bydłątek i płacze ludzkie!

Wszystko prawie wściekało się z głodu, gryzło żłoby, tłukło się o ściany i zdychało. Nawet wody nie było im wolno zanieść, nawet garści słomy podrzucić, bo zaraz były w robocie nahaje. Serca pękały z żalości, ludzie mdleli, dostawali konwulsyj, włóczyli się u nóg i, jak psy, skamlali o zmiłowanie nad bydłątkami... Na darmo, bo tamci wciąż swoje mówili: «Podpiszcie się!» Ale o zbawienie duszy szło, to woleli wszystko stracić, a nikt się nie podpisał. Nikt, panie, ani jeden!

Zrobiło się cicho, przysypywali ciężko, jakaś kobieta, skulona pod piecem, rozszłochała się spazmatycznie, a mnie przejął lodowaty dreszcz zgrozy.

— A nie żalowali nam niczego! Niczego — wyrzekł ktoś z westchnieniem.

— I kiedy odeszli — ciągnął dalej staruszek — to ze wsi zostały tylko gołe ściany i ani jednego bydłątka, ani jednego ziemniaka, ani jednego ziarnka zboża, ani jednej skibki chleba, nic, tylko te sieroce płakania, głód, choroby i śmierć. I żeby nie miłosierdzie Boskie, tobyśmy...

— Co było, to i przeszło; ważniejsze, co nas teraz czeka! — przerwał mu jakiś młody.

— Nie śpiesz się, Józef, przyjdzie, i weźmiesz swoje, jak i my brali, weźmiesz...

Młody rzucił się niecierpliwie i rozgorzał, jak szczapa na wietrze.

— Wezmę, ale oddam z dokładką; przecież nie będę klęczący nadstawiał pleców, nie będę pacierzem bronił się przed kijem, nie, na kij znajdzie się kłonica, albo i co lepszego! — wołał gwałtownie, wyzywająco.

— Nie daj się, dużo sam zrobisz, trykaj¹⁾ łbem we ścianę, trykaj! — drwił stary.

— Wszyscy tak już wiedzą, jak i ja. Nie pozwolimy się zarzynać, jak barany!

— Józef prawdę mówi — przymówił znowu brodaty. — Przeżyłem dawne i tak je dobrze pamiętam, że jużbym może nowego nie przetrzymał. Lepiej nam wszystkim poginać odrazu, niżli znowu tak żyć, jak dawniej.

— Naród jest poczciwy i pokorny, nikomu wody nie zamąci, robi, co każą, ale niech go nie drażnią, niech go nie krzywdzą, niech go do dołu nie spychają, bo może być źle! I barany mają rogi! Bóg wie, co się stać może!

— Im się wydaje, że my — to co? Nie ludzie czujące?²⁾ Że my z drzewa, i można z nas wyciosować, co się tylko komu podoba! My żywe i żyć chcemy, to się w trumnę po dobrej woli nie położymy, a wdeptać się w nią nie damy.

— Żeby nam przyszło głowy położyć, a nie damy się!

— Bójcie się Boga! Jeszcze kto posłyszysz i doniesie! Ludzie! — błagał staruszek, bo chłopci już tracili równowagę, siedzieli wprawdzie spokojnie, ale po izbie latały coraz groźniejsze słowa i spoj-

¹⁾ Trykać — uderzać; ²⁾ zam. czujący (forma gwar.).

rzenia, a twarze rozpalaly się gniewem. Kobieta pod piecem rozszlochała się głośno, aż ktoś zakrzyczał:

— Mogliście się już przez tyle lat wypłakać. Nie czas nam na beki a lamenta!

Przycichło w izbie, ale po chwili znowu zawrzały rozmowy, zaczęli się coraz szczerzej wywnętrzać, tylko że głosy były już cichsze i trwoźniejsze, a słowa wyrwały się z trudem, jakby z pod serca, jakby z utajonych głębin trwogi; smutek przejmował dusze i pochylał te bohaterskie, nieulekłe czoła, rozpaczliwy, beznadziejny smutek wyzierał z przymglonych łzami oczów.

— Aż strach pomyśleć, co się z nami stanie!

— Nawet kalendarz mają nam zmienić!

— I wszystkie święta przemienią po swojemu! Boże Narodzenie wypadłoby w styczniu!

— Jakże to może być? Przecież Chrystus urodził się 24 grudnia, to nie może się rodzić drugi raz w styczniu! Nie może! Nasz polski Chrystus urodził się 24 grudnia! Jakże... Tego człowiek nie zrozumie, choćby jeszcze żył sto lat!

— I gruntów nie będzie nam wolno kupować!

— Za własny grosz — i nie będzie wolno! To już koniec świata!

— A powiadają, że, jak nas tylko odłączą, to wzbronią mówić po polsku, za każde słowo będzie rubla sztrafu¹⁾. Nawet w kościele nie będzie wolno księdzu, ani nikomu po polsku! Ani pieśni, ani nic!

— Jezus Marja! Jezus Marja! — zajęczała kobieta, wznosząc ręce do góry.

¹⁾ Sztraf (z niem.) — kara.

— Nikt na to nie przystanie, a i księża przecież się nie zgodzą...

— Księża też mogą nas odstąpić, jak odstąpili unicy, nie pamiętacie?

— To nie pójdziemy do takich kościołów; do lasów wrócim, Bóg jest wszędzie.

— A i na takich księży znajdzie się kara! Naródby im tego nie przepuścił!

— A niech nas odstąpią, a niech nas wszyscy opuszczą, a niech nas pozabijają, jak te psy wściekle, i niech się to już raz skończy! Przecież człowiek dłużej takiego życia nie wytrzyma! Nie wytrzyma, mój Jezus! Nie wytrzyma! — zawołał jakiś chłop, łzy polały mu się ciurkiem po wynędzniałej twarzy, płakał, jak dziecko.

— I za co to wszystko? Cośmy komu zawinili? Dlaczego? — biadali bezradnie.

— Dlatego, żeśmy Polacy i katolicy! — zawołał wójt.

Naraz siwy staruszek przyklęknął, wyciągnął ręce do obrazów i zaczął odmawiać głośno: «Pod Twoją obronę».

Cała izba powtarzała za nim głosami, pełnemi łez, rozpaczy i błagania. A kiedy się porozchodzili, wójt powiedział:

— Wszyscy się boją odłączenia od Polski gorzej, niżli śmierci. W każdej wsi zobaczy pan to samo, w każdej chałupie i w każdym człowieku.

Bardzo długo nie mogłem zasnąć tej nocy.

.

III.

O świetle ruszyłem dalej.

Jakby w pobożnej pielgrzymce po takich stacjach polskiej Kalwarji, jak Łomazy, Piszczac, Biała, Horbów, Pratulín, Janów i tylu innych miejscach, wślawionych cudami chłopskiej wiary i męczeństwa.

I tym krwawym, bolesnym szlakiem, nad którym jeszcze niedawno szalały burze i pioruny, droga ciągnęła mi się kręto i długo, gdyż często musiałem zbaczać do wiosek i folwarków, pogubionych wśród lasów, do chałup, dworów i plebanij, ale najczęściej do chałup, między dawnych «opornych», między lud, zahartowany w cierpieniach i tak bardzo uświadomiony, a który znowu czekają nowe, może jeszcze sroższe walki o samo już tylko istnienie.

Przez parę tygodni jeździłem po tych cichych, oprędzonych melancholją i dziwnym smutkiem ziemach, gdzie każda wieś była przez całe dziesiątki lat niezdobytą twierdzą, każda chałupa okopem walczących do ostatniego tchnienia i każdy człowiek nieustraszonym bojownikiem świętej sprawy.

A codziennie słuchałem wstrząsających opowiadań o przeszłości, codziennie ktoś mi odślaniał rany, ledwie przyschnięte, i szeptał zbielełemi wargami tragiczne dzieje swoich najbliższych; i codziennie z żywej, krwawiącej jeszcze pamięci wynosiły się postacie świętych męczenników, przerażające sceny «nawracañ», bezprzykładne cierpienia i nadludzkie ofiary.

Długo i boleśnie brzmiały mi w sercu, jakby echa pomarłych płaczów, żalosne echa jęków i dzikie, rozpierzchłe odgłosy nahajek, strzałów i skarg.

I snuły się przede mną wciąż, na każdym miejscu i o każdej porze, jakby niezliczone, blade widma pobitych, które, «jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec», zwały się w mogilne doły, dając wszystkim żywot na świadectwo swojej wiary niezlomnej i swojego narodu.

I zrozumiałem, dlaczego takim smętkiem owiana jest ta ziemia, dlaczego tam słychać nocami płacze na rozstajach, dlaczego bory szumią taką posępną skargą, ptaki śpiewają jakoś smutniej, nawet wichry jęczą żałośnie, a pod niskiem, skłębionem zawsze niebem ludzie przesuwają się cisi, skupieni w sobie, z przytąjonemi płomieniami w oczach, drobni, a pełni żelaznej mocy wytrwania, nieulekli, niezmoczeni, bohaterscy.

I wtedy także odczułem w całej grozie i wielkości tę jedyną na świecie martyrologję¹⁾ żywych i umarłych, pisaną krwią i łzami całego ludu.

Ale jeszcze głębiej i jeszcze boleśniej zatargały mi sercem ich pytania, gdy po długich litanjach krwawych wspominań przysuwali się bliżej i szepotali :

— A co będzie, jak nas odłączą? Co się z nami stanie?

Na to może odpowiedzieć tylko cała Polska.

I odpowiedzieć musi, bo to sprawa życia

¹⁾ Martyrologja (z greck.) — dzieje męczenników.

i śmierci dla tych najwierniejszych i najnieszczęśliwszych.

.

A jakie to dusze wzniosłe, bohaterskie i oddane świętej sprawie, niech opowie krótka historia, jedna z tysięcy, fakt straszliwie prawdziwy i rzeczywisty aż do okropności.

W 1874, w roku zniesienia Unji na Podlasiu, na pograniczu powiatów bialskiego i konstantynowskiego, w małej wiosce Kłoda, należącej do horbowskiej parafji unickiej, biedował na paru morgach niejaki Józef Koniuszewski, a że ziemi miał mało i lichej, to pracowicie dorabiał po dworach i sąsiadach, żeby się tylko wyżywić wraz z żoną, dzieckiem paroletniem i krowiną. Byli to ludzie porządni, spokojni, a bardzo przywiązani do swojego wyznania.

Ale przyszło zniesienie Unji, zaczęto nagwałt nawracać Podlasie i Chełmszczyznę, trafili więc i do Horbowa, spędzili całą parafję pod cerkiew i kazali się wszystkim przepisywać na prawosławie. Nawracanie odbywało się, jak wszędzie, w przepisany zgóry porządku i formie. Kto uległ wymowie batów, kto obietnic, kto dłuższym siedzeniem w Białej, ale Koniuszewscy, wraz z wieloma ze swojej wsi, nie ulegli; dostali też sporą porcję, a Koniuszewski nawet więcej, niżli drudzy, gdyż żarliwiej i głośniej bronił swojej wiary, a omdlewając pod nahajkami, jeszcze krzyczał:

— Polak jestem i katolik! Zabijcie, a nie przejdę!

Nie zabili go, ale zato dłużej musiał się lizać

z ran i ciężej przychodził do zdrowia. A jakby na tem większą niedolę nieszczęśliwych, na Koniuszewską, będącą w tym czasie już w ósmym miesiącu ciąży, zwrócił szczególną uwagę strażnik i często zaglądał do wsi, rozpytując się bardzo troskliwie o czas jej rozwiązania.

Zaraz na drugi dzień po urodzeniu się tegoż chłopaka spadł na nich strażnik, jak sęp żarłoczny, z nakazem, żeby mu dziecko przynieśli do ochrzczenia.

Koniuszewski struchlał, ale matka, chociaż jeszcze chora, zaczęła krzyczeć:

— Nie dam na prawosławne dziecka! Uduşę je własnymi rękami, a nie dam!

Strażnik odszedł, i nazajutrz wezwano Koniuszewskiego do gminy.

— Ja Polak i katolik, to i mój syn będzie taki sam! — odpowiadał krótko i twardo.

Posiedział zato parę dni w kozie, dostał parę razy w zęby, ale nie zmiękł.

W jakiś czas później wezwano go do Białej. Siedział w kryminale wraz ze złodziejami przez dwa miesiące i, chociaż próbowano złamać jego upór na różne sposoby, nie ustąpił i dziecka w cerkwi nie ochrzcił. Wrócił tylko z więzienia jakiś srodze opuchły, posiniaczony i z powybijanymi zębami. Powiadał potem przed sąsiadami, że zdrzemnął się na wozie i zleciał na twardą grudę drogi...

Spróbowali z nim innej metody: musiał płacić za każdy dzień zwłoki po pięćdziesiąt kopiejek.

Płacił cierpliwie, myśląc, że na tem skończą się jego biedy.

Ale wkrótce podnieśli mu karę na rubla dziennie.

Nie ustąpił, chociaż było mu już strasznie ciężko.

A wkońcu, aby go złamać ostatecznie, nakazali płacić po całe dziesięć złotych.

Darł się do żywego mięsa, odejmował sobie i dzieciom od gęby, a płacił, i chłopaka do cerkwi nie zaniósł.

Lecz rychło przyszedł dzień, w którym zabrakło mu nawet na sól.

Kara jednak nieubłaganie narastała; strażnik wisiał nad nimi, jak topór, i co parę dni przychodził po pieniądze, wójt groził więzieniem, gdyż urzędy coraz ostrzej nakazywały ściągać należność.

A skąd było brać? Stodoła była już pusta, wyprzedali się do ostatniego ziarnka, do ostatniego prawie ziemniaka i zapożyczyli się na wszystkie strony.

Zaś zarobek ledwie starczył na jakie takie przeżywanie się.

Wtedy zafantowali ¹⁾ im prawie wszystkie ruchomości z chałupy, z rozmysłem nie zostawiając zimowej przyodziewy, ni nawet pierzyn i poduszek, i sprzedali wszystko na pokrycie zaległych sztrafów.

W chałupie pozostały tylko gołe ściany i puste łóżko, że musieli się przenieść na spanie do obórki, listopad bowiem szedł zimny i deszczowy, a nocami brały tęgie przymrozki, ale się nie ugięli nawet pod takim ciosem, zdecydowani już wszystko przenieść, byle jeno dziecko uratować.

¹⁾ Fantować (z niem.) — robić zajęcie cudzych rzeczy za długi, licytować.

Cóż, kiedy tej chudoby nie starczyło na długo, i kara znów jęła narastać, a strażnik już co dnia ich dręczył i co dnia namawiał:

— Zanieście dziecko do cerkwi! Wrócą wam wszystkie sztrafy i jeszcze nagrodę dadzą.

Chłop tylko zęby zaciskał i pięście pod nie podtykał, żeby nie grzmotnąć kusiciela.

Aż któregoś dnia zabrali im maciorę, wartującą¹⁾ ze dwadzieścia pięć rubli.

Koniuszewski sobie rachował, że za nią przeżywią się chociażby do wiosny, więc ciężko zajęczeli po jej stracie, a beznadziejna rozpacz zaczęła szarpać sercami, ale nie dali tego poznać po sobie wójtowi, który pierwszy wszedł do chlewa wyganiać świnię, a tylko Józefowa, widząc maciorę, opierającą się przed progiem, zakrzyczała urągliwie:

— Ugryźcie ją w ogon, to może prędzej was posłucha.

Wójt udał głuchego, a potem przystąpił do chłopca i zaczął mu życzliwie przekładać:

— Nie gub się, człowieku! Widzisz przecież, do czego cię już doprowadziło to uporstwo!²⁾ Głową muru nie przebijesz! Nie wiesz to, że pokorne ciele dwie matki ssie?

— Żeby nie wiem co, a od swojego nie odstąpię! — odpowiedział na głos.

— Nie bądź głupi, jak drugi! Małoś to już dostał? Chcesz, żeby ci jeszcze dołożyli, co? Takie prawo wyszło, to słuchać go musisz. Dziecku się nic

¹⁾ Wartować a. wartać (gwar. lud.) — być wartym;

²⁾ uporstwo — upór (rusycyzm).

Z ziemi chełmskiej.

nie stanie. A rozgniewasz swoim uporstwem urzędy, to ci gotowi grunt zabrać, i wyjdiesz na dziady.

— A niech mi wszystko zabiorą! A niech mi nawet przyjdzie zdychać z głodu pod płotem, to zdechnę, a dziecka na zatracenie nie oddam! — rozkrzyczał się, a żona mu jeszcze przytakiwała, utulając rozplakane dziecko.

Cała wieś to słyszała i widziała.

I nie przeciągnął go wójt na swoją stronę, nie poradzili tego zrobić później inni podmówieni, a nawet sam pop, który umyślnie przyjechał do niego; nie puścił go do chałupy i tylko kijem pogroził.

Wlokła się ta sprawa do połowy grudnia; zima się już była ustaliła na dobre, wody skrzepły na lód, śniegi przykryły pola, przemarzłe drogi dzwoniły pod nogami, a wszelkie stworzenie cisnęło się do ciepła, gdy jakiegoś poranku mroźnego spadł na Koniuszewskich cios nowy i może najcięższy.

Przyszli zabrać im krowę, jedyną ich żywicielkę.

W chałupie zrobiło się tak strasznie, jakby wyprowadzano nieboszczyka; kobieta ryknęła płaczem i zaczęła bronić bydłatka, wrzeszczeć a pomstować wniebogłosy, aż się cała wieś zleciała.

Nikt się jednak z pomocą nie kwapił, bo jeszcze wielu nosiło niezgojone rany.

Koniuszewski też jakoś spokojnie stał w progu, blady był i cieny, jak trup, i chociaż mu żalność rozrywała wnętrznosci, patrzył na wszystko martwemi, zapiekłemi od bólu oczami i nie wyrzekł ani słowa, ale skoro krowina, wyciągana z obejścia, zaryczała

i zaczęła odwracać głowę za gospodarzami, porwał jakiś kół i również wziął bronić swojej żywicielki. Nie obronił; mógł to sam przemóc całą tę zgraję?

Tyle tylko zarobił, że go znowu sponiewierali, jak nieboskie stworzenie, a krowę i tak powlekli na sprzedanie.

Luta¹⁾ noc omroczyła im duszę, i gdy żalosne ryki bydłatka ucichły, chałupa stała się jakby tym zimnym grobem, pełnym straszliwych jęków niedoli; kobieta zawodziła rozpacznie, nie mogąc przeboleć tej straty, a chłop siedział martwo pod kominem, jak ten ogień, w który się zapatrzył, palącą, straszną męką przegryzany.

Przeszło południe, wieczór już nadchodził, modrawy zmierzch obtulał ziemię, i po wsi wyblyskiwały światła, a oni wciąż siedzieli, pogrążeni w rozpacz i gorzkich rozpamiętywaniach swojej doli nieszczęsnej. Zaglądali do nich niektórzy sąsiedzi, ale dojrawszy sine, okrwawione twarze, zakrzepłe w bólu i rozpacz, uciekali strwożeni. Dopiero późnym wieczorem oprzytomnił ich płacz zgłodniałych dzieci.

— Cóż teraz poczniemy? — odezwiała się kobieta, nastawiając garnek z wodą na ogień.

— Nie ustąpimy! — rzekł i długo patrzył w jej zapłakane oczy.

— Dziecka nie dam! — przytwardziła mocno — a może Pan Bóg zlituje się jeszcze nad nami.

Mieli w sobie tak niezłomną wiarę w świętość

¹⁾ Luty (mało używ.) — okruć; srogi. Luty (gwar. w określeniu czasu) — zimny, chłodny, ostry.

swojej sprawy, że nie było na świecie mocy, któraby mogła ich zachwiać w powziętem postanowieniu.

Ale jak tu było żyć dalej?

Nie mógł się nigdzie ruszyć za robotą, bo literalnie nie miał w czym, a mrozy brały coraz większe, więc tylko żyli tem, co im przyniosły miłosierne ręce sąsiadów, a tego było niewiele, gdyż wieś była strasznie zbiedzona i tak w czasie «nawracania» objedzona przez żołnierstwo, że nie w każdym domu mieli ziemniaki, a już okrasy i chleba to nie widzieli całemi miesiącami.

Ale w chałupie Koniuszewskich była już tylko rozpacz i głód.

Chłop targał się w męce i prawie już od rozumu odchodził, żeby sobie jakoś zaradzić, a tyle jeno wymyślił, że któregoś dnia pożyczył sobie od sąsiada kożucha, nogi poobwijał w łachmany i, nie opowiadając się nawet żonie, ruszył gdzieś w świat.

Poszedł po ratunek do księdza.

Droga była daleka i niezmiernie uciążliwa, szedł przytem o głodzie i musiał kołować i kluczyć¹⁾ borami, omijając wsie i trakty, na których mógłby się spotkać ze strażnikami, więc dopiero drugiego dnia dowlóknął się na plebanję.

Ksiądz był w domu, ale skoro się dowiedział, że to «oporny», tak się wystraszył, że nie chciał go widzieć na oczy i przykazał surowo kościelnemu nie wpuszczać nieszczęśnika nawet do kościoła. Szczęściem, kościelny miał litościwsze serce i pozwo-

¹⁾ Kluczyć a. kluczkować — wywijać się i zacierać swe ślady.

lił mu wejść do kruchty, gdzie Koniuszewski całą noc leżał krzyżem i żebrał krwawemi łzami o zmiłowanie, a rano, po mszy, upatrzwszy odpowiednią chwilę, padł do nóg proboszczowi, wyznał się¹⁾ ze wszystkiego i skamlał o ochrzzczenie dziecka.

Ksiądz wysłuchał, nawet się nad nim rozczulił, dał mu parę złotych i medalik, ale o chrzcie nie dał sobie mówić i jak najsurowiej zakazywał mu więcej przychodzić na plebanję...

A chociaż z niczem powrócił do chałupy, nie stracił jeszcze nadziei, bo wkrótce wybrał się do jednego z dworów, gdzie często chodził na robotę. Cóż, kiedy dziedzic kazał go wypędzić: bał się również, aby go nie posądzono o pomaganie «opornym», na całej bowiem Unji wciąż jeszcze świszczały nahajki, tłukły kolby, tysiące gnano w dalekie strony, i rozlegał się żałosny płacz «nawracanych». Koniuszewski zapłakał pierwszy raz w życiu nad swoją niedolą i odszedł.

Dopędził go za bramą dworski kucharz i z dobrego serca mu poradził, żeby się udał do starej pani hrabiny Łubieńskiej w Jabłoni, która, jak może, tak wspomaga i broni prześladowanych unitów, a już niejednego uratowała od zguby.

Ale chłop tylko się smutnie uśmiechnął, obtarł rękawem oczy i już nigdzie więcej nie poszedł, nie szukał już u nikogo więcej poratunku, bo rozumiał, że pozostał sam na świecie, jako to drzewo na wywieisku²⁾, i że zginąć musi...

¹⁾ Wyznawać się (gwar. lud.) — przyznawać się, oskarżać się; ²⁾ wywieisko — miejsce, wystawione na wiatry, wydma.

Opowiadali potem ludzie, jako po powrocie wolał się tylko modlić, a z chałupy przez całe noce rozlegały się pobożne śpiewy.

I kiedy przed samemi Godami ¹⁾ dali mu znać, pod wielkim sekretem, że mają mu siłą odebrać dziecko i ochrzcić je w cerkwi, nawet nie rozpaczał, jakby już na wszystko przygotowany, a tylko rzekł tym, co mu tę wiadomość przynieśli:

— Długie mają ręce, ale mojego chłopaka nie dosięgną.

Stał się nawet potem jakiś rozmowniejszy i prawie wesoły, chodził po wsi, zaglądał do chorzych, leczących się jeszcze z pobicia, umacniał w wierze chwiejnych i wyznawał się przed niektórymi, że postanowił zabrać żonę z dziećmi i wywieźć się w świat szeroki, gdzie go oczy poniosą!

Nie dziwili się temu, przecież już był osaczony, jak ten dziki, szkodny zwierz, a nawet któryś z zasobniejszych chciał mu pożyczyć na drogę, pod zastaw gruntu.

— Na taką drogę wystarczy mi tego, co mam — odpowiedział cicho.

I jeszcze tego samego dnia oboje Koniuszewscy zaczęli się żegnać ze wsią i pokornie wszystkich przepraszaali za złe, jakie mogli komu uczynić.

Mówili, że wyjdą w nocy, ale nikomu nie powiedzieli, dokąd się wynoszą.

Pożegnali się, i już ich nikt więcej nie widział na oczy.

¹⁾ Gody (staropolsk., obecnie używ. w gwar. lud.) — święto Bożego Narodzenia.

Noc się zrobiła ciemna, mróz sfolżał, i niekiedy padał śnieg gęsty i pierzasty, a chwilami przeciągał wilgotnawy wiatr, jakby na odmianę. Psy tej nocy jakoś dziwnie, swarliwie naszczekiwały, i koguty piały od samego wieczora.

Naraz, o samej prawie północy, chlusnął w niebo słup ognia, i rozległy się po wsi krzyki.

Palila się stodoła Koniuszewskich.

Ale, nim się zbiegli, a pomyśleli o ratowaniu, już cała stanęła w płomieniach.

Koniuszewskich w chałupie nie było, musieli wyjść zaraz z wieczora.

Zdumieli się jednak niezmiernie, znalazłszy chałupę rozwartą naroścież, a w izbie, na stole, pokrytym białem płótnem, zastawioną wieczerzę, zupełnie jeszcze nietkniętą.

Długo nad nią kiwali głowami, nie mogąc tego zrozumieć, aż ktoś rzekł z naciskiem:

— Musiało im coś przeszkodzić, kiedy tak wszystkiego odbiegli.

— A może są jeszcze gdzieś na wsi...

— Jużby do ognia przylecieli; nie, w tem jest coś innego.

Pogadywali niespokojnie i wyczekująco rozglądali się dokoła, ale Koniuszewscy się nie zjawili, natomiast pożar wzmagał się z minuty na minutę, ognistą płachtą pokrył już cały dach i czerwonymi jęzorami przeciskał się wskróż ścian; na szczęście, wiatr całkiem ustał, a rozwichrzzone grzywy czarnych dymów i płomieni wynosiły się coraz potężniej z trzaskiem i sykiem, rozsiewając krwawe brzaski

na gromady, wylęknione i tłoczące się bezradnie, i na ośnieżoną chałupę, nisko przywartą do ziemi.

Wreszcie soltys zaczął napędzać do ratowania, że ten i ów się poruszył i biegł z krzykiem, nie wiedząc zresztą, co począć; ktoś nawet próbował wyciągnąć wóz, którego dyszel sterczał przez wrótnie ¹⁾ stodoły, lecz niepodobna było już podejść bliżej; cały budynek stał w ogniu, paliło się na wszystkich czterech węglach, a ze słomianego dachu sypał się na głowy żywy ogień.

Przyleciał wkrótce strażnik i, nie zważając na pożar, zaczął bardzo żarliwie rozpytywać, gdzie się podzieli Koniuszewscy, i tak zajadle szukał, tak za nimi tropił, zaglądając nawet do ziemniaczanych dołów i na strychy, aż się z niego przekpiwali między sobą, a ktoś odważniejszy zawołał ze śmiechem:

— Schowali się do stodoły; niech pan starszy sprawdzi...

Juści nie sprawdzał, bo stodoła była już tylko huczącą górą rozmiotanych płomieni, już trzeszczały wiązania, już chwiał się dach, wzdymały się rozpalone ściany, pękały belki, a co chwila wybuchały ogniste fontanny, i krwawe żagwie, niby spłoszone ptactwo, rozlatywały się na wszystkie strony świata. Noc była cicha i ciemna, śnieg zaczął polatywać gęstemi rojami, we wsi sąsiedniej bił dzwon na trwogę, i psy wyły jakoś długo i żałośnie; ludzie zaś stali kupami, zcicha pogadując, gdy wtem, jakby z nieba, czy z tych szalejących płomieni, zabrzmiał stłumio-

¹⁾ Wrótnie — drzwi do stodoły.

ny, daleki śpiew, jakby przeciągły krzyk konających...

Struchleli z przerażenia, zamarły serca, i wszystkie oczy stanęły kołem.

A płomienisty kierz¹⁾ śpiewał coraz głośniej, coraz wyraźniej i coraz zrozumialej...

Nikt się nie mógł poruszyć, jakby ich wbiła w ziemię kamienna pieśń strachu; dopiero po długiej chwili ktoś zakrzyczał:

— To Koniuszewscy!

— Jezu, Marja! Koniuszewscy! Ratuj, kto w Boga wierzy! Jezu, Marja!

Jakby huragan szaleństwa ich porwał i rozmiótł na wszystkie strony; lunęły wrzaski, szlochania, lamenty; biegali nieprzytomnie dokoła ognia, wyciągali ręce, targali się za włosy, uciekali w pola, to krzyczeli nieludzko w strasznej męce żalów i bezradności, bo ani można myśleć o ratowaniu, dach się bowiem wygiął i mógł lada chwila runąć.

Ale śpiew wciąż jeszcze płynął, równy, wysoki, niebosiężny, był jakby radosnem witaniem raju, hymnem zmartwychwstających, ekstatyczną²⁾ pieśnią wiary...

Runęli wszyscy na kolana i zaczęli odmawiać modlitwę za konających. Głosy się trzęsły i łamały, zalewając łzami, niekiedy wybuchał ogólny płacz, niekiedy ktoś padał na ziemię ze strasznym, rozdzierającym krzykiem, i łkania rozsadały piersi, ale

¹⁾ Kierz — krzak (por. str. 26, u. 2); ²⁾ ekstatyczny (ekstaza — z greck. zachwyt duszy, wyzbytej cielesności i zbliżającej się do Boga) — nacechowany ekstazą, pełen zachwytu.

modlili się całą głębią dusz, i ta litanja zrozpaczonych, łzawych głosów łączyła się ze śpiewem konających i wraz z szumem pożogi, z trzaskiem pękających ścian płynęła jednym, ogromnym jękiem w bezkresną, nieprzeniknioną noc...

Naraz stodoła się zapadła, i z głębi ognistej otchłani wydarł się ostatni, przerażający krzyk...

.

Dopiero w parę dni później wydobyto z pod zgłiszcz zwęglone zwłoki Koniuszewskich.

IV.

Dla pełności obrazu opowiem jeszcze, chociaż tylko w streszczeniu, dzieje unickiej wioski Hrud, położonej niedaleko Białej Podlaskiej, na drodze do Janowa.

Hrudy najwcześniej na Podlasiu, bo jeszcze w roku 1867, wzięły pierwsze cięgi za uparte trwanie przy Unji. Było to wtedy, kiedy «Misja Bialska» jeszcze prywatnie, jakby tylko z apostołskiej gorliwości, próbowała oczyścić cerkiew unicką z polskich i łacińskich naleciałości. Niestety dla Hrud było to, że leżały za blisko owej «Misji», musiały się więc stać jakby polem doświadczalnem dla siewców «czystej i jedynej prawdy». Ale grunt okazał się dziwnie jałowy i pomimo bardzo obfitego umierziania krwią, nie wydał oczekiwanych plonów. A nawet przeciwnie, gdyż stał się źródłem zaraźliwej gorączki «uporstwa», jaka wkrótce ogarnęła całą Chełmszczyznę.

Zaczęło się, jak odtąd miało się już zaczynać na Unji, od wyrzucania z cerkwi polskich śpiewów, kazań, organów, świętych obrazów i dzwonów.

Ale lud natychmiast przywrócił cerkiew do dawnego stanu i śpiewał dalej po polsku, bo tylko polskie kościelne pieśni umiał, modlił się przed obrazami, słuchał ze wzruszeniem organowych głosów i polskich kazań, bo tak było za jego dziadów i pradziadów, bo tylko takie nabożeństwo rozumieli; albowiem te śpiewy, kazania, obrazy, procesje wśród dzwonów, kadzielnich dymów i brzęących organów były i są jakby organiczną częścią jego wierzeń religijnych, jego wzruszeń serdecznych i jego umiowań.

Nie obroniło to ich od nowego zamachu na cerkiew, gdyż w lipcu tegoż roku próbowano narzucić im nowego, posłusznego proboszcza.

Przywiózł go sam Marceli Popiel ¹⁾, prawie już biskup chełmski, w towarzystwie błogoczynnego ²⁾ Kalinowskiego i sporego orszaku kozaków, dla uświetnienia uroczystości.

Ale lud otoczył cerkiew nieprzebytym wałem i nie wpuścił do niej nikogo.

Nie pomogły długie i żarliwe namowy; lud nie dał się przekonać i nie ustąpił.

¹⁾ Marceli Popiel, ksiądz unicki z Galicji, sprowadzony został przez rząd rosyjski do Królestwa, gdzie renegat ten zasłynął, jako najgorliwszy i najzacieklejszy prześladowca pcrzuconej przez siebie wiary oraz polskości; on to nakazał odprawianie nabożeństwa na wzór prawosławnego; ²⁾ błogoczynny — dobroczynny; tu oznacza tytuł duchownego prawosławnego.

Popiel odjechał rozgniewany i groził strasznymi karami za nieposłuszeństwo.

Chłopi czuli, co ich czeka, i z determinacją ¹⁾ pochylali głowy przed Dołą.

Jakoż w końcu września zjawiła się we wsi sotnia kozaków, a za nimi przymaszerowała rota ²⁾ piechoty i rozkwaterowała się po chałupach.

Całe dwa miesiące zabawiali się na koszt Hrud.

I przez całe dwa miesiące wszyscy, którzy posiadali konie, musieli jeździć na podwody ³⁾ po całym powiecie, a reszta mieszkańców była pędzona od świtu do nocy na drogi, do zgarniania kamieni i błota, kopania niepotrzebnych rowów i wysypywania żółtym piaskiem głównego gościńca.

A tymczasem pola leżały odłogiem, nie było czasu ni orać, ni siać, ni nawet wykopać ziemniaków, które gniły, gdyż jesień była wielce mokra, wieś niszczała coraz bardziej, inwentarze dawały szyje pod nóż żołdacki, stodoły pustoszały, bo kozacy paśli swoje konie tylko czystym zbożem, płoty szły na ogień, a skoro ich zbrakło, to i drzewi z chałup, i pomniejszych budynki, i nawet drzewa z sadów.

I na zakończenie Hrudy zapłaciły jeszcze kontrybucję ⁴⁾, kilku gospodarzy poszło na parę miesięcy do więzienia, a dawnego proboszcza, księdza Terlikiewicza, wywieziono.

Wreszcie wieś odetchnęła, goście odeszli, parę

¹⁾ Determinacja (z łac.) — stanowczość, silne postanowienie; ²⁾ rota (z niem.) — oddział; ³⁾ podwoda — wóz z końmi, oddany z nakazu rządowi do rozporządzenia; ⁴⁾ kontrybucja — podatek, nałożony za karę.

lat przeszło spokojnie, a tylko w ciężkiej pracy do-
rabiano się, jakby po strasznym pożarze.

Cerkwi jednak wciąż strzegli, jak oka w gło-
wie, straże czuwały dzień i noc.

W roku 1871, w sam dzień Zwiastowania, zja-
wił się najniespodziewaniej nowy, «ukazowy» ¹⁾ pro-
boszcz, niejaki Starosielec, w towarzystwie błogo-
czynnego Kalinowskiego, i gwałtem chcieli zawład-
nąć cerkwią, lecz chłopci znowu ją otoczyli lasem
roztrzęsionych pięści i groźnie krzyczeli:

— Jeżeli nie wróci ksiądz Terlikiewicz, to in-
nego nie potrzebujemy!

Wobec ich zdecydowanej postawy Starosielec
wyniósł się bardzo pośpiesznie.

Ale nazajutrz powrócił w licznej asyście ²⁾
strażników.

I porę wybrali sobie najodpowiedniejszą, bo
po południu, kiedy wszyscy ludzie byli przy żni-
wach, daleko za chałupami, a we wsi zostały tylko
dzieci i starce, drzemiące po sadach. Na szczęście
ten, który stróżował przy cerkwi, zobaczył całą ka-
wakatę ³⁾, wyjeżdżającą z lasów, i, poczuwszy nie-
bezpieczeństwo, zaczął dzwonić na trwogę.

Na polach podniósł się straszny wrzask i la-
ment; kto tylko żył, chwycił, co mu wpadło w gar-
ście, i leciał na obronę.

Tamci zaś, zrozumiałwszy, że ich spostrzeżono,
pędzili do wsi, co tylko konie miały tchu, prędzej

¹⁾ Ukazowy (przym. od «ukaz» — dekret, rozporzą-
dzenie carskie) — przysłany zgodnie z ukazem; ²⁾ asysta
(z łac.) — orszak, otoczenie, świta; ³⁾ kalwakata a. kalwa-
kada (z włosk.) — orszak, towarzystwo konne, gromada.

dopadli kościelnego cmentarza i zaczęli łamać wrotnie, ale nie zdążyli jeszcze dostać się do środka, gdy chłopci runęli na nich z ogromnym krzykiem i rozmięli, że uciekali chyłkiem, opłotkami, jak spłoszone jastrzębie.

Starosielec nie dał jednak za wygraną i w parę dni później znowu powrócił, ale już w otoczeniu całych dwóch sotni...

Wchodzili do Hrud triumfalnie, z muzyką i śpiewami, od których chłopom cierpła skóra i, chociaż się żegnali rozdygotanymi rękami, stanęli jednak nieulękłe w obronie swojej cerkwi, tylko, że opór trwał już bardzo krótko: szarża, piki, naboje, końskie kopyta wnet utorowały drogę «narzutowi»¹⁾, który też ostatecznie objął parafję w swoje posiadanie, a wojsko rozłożyło się, starym zwyczajem, po chałupach i odpoczywało przez całe ośm tygodni.

A kiedy wreszcie odeszli, to w Hrudach nie zostało ni jednych całych pleców, ani jednej szyby, płota i drzwi, a w każdej chałupie był szpital i sieroty, gdyż pięciu gospodarzy wraz z rodzinami popędzono w ślady księdza Terlikiewicza.

Nastąpiły parę lat przerwy; pogoiły się plecy, wyrównały się szczyrby w dobytku, obeschły nawet łzy, nie zginęła tylko pamięć o wywiezionych; ich puste, pozabijane deskami chaty, i pola, leżące odłogi, których się nikt nie považył tknąć, leżały wciąż na oczach i były niby niemy krzyk wiecznie pamiętnej krzywdy!...

¹⁾ Narzut (mało używany) — natręt, intruz.

Nadszedł 1874 rok, pamiętny na zawsze, rok zniesienia Unji.

Naturalnie, że nie zapomniano i o Hrudach. Nawracano je przez cały tydzień, i przez cały tydzień brzmiały apostołskie napomnienia, przeplatane świstem nahajek i jękami.

Siew był żarliwy, żniwo znojne, omłot pracowity, ale plon niezmiernie lichey...

Hrudy nie dały się nawrócić z odwiecznych błędów i pozostały zatwardzale «uporstwujuszczymi» ¹⁾, ale zapisano je do panującego Kościoła i pozostawiono pod opieką praw specjalnych i strażników.

Życie toczyło się wciąż jedną koleją, puste chałupy wciąż czekały na swoich gospodarzy, sieroty na ojców, a pokrzywdzeni na sprawiedliwość; siano jednak, orano i sprzątano, jak zwykle, tylko że wieś stała się podobna do cmentarza. Nikt już nie zaśpiewał, nie tańczył i nie weselił się, zapomnieli się nawet śmiać; ludzie przesuwali się, jak cienie, bladzi, wynędzniali, śmiertelnie smutni i przeżarci nędzą i cierpieniami, a zawsze gotowi na nowe cierpienia i nowe ofiary dla sprawy.

Z cerkwią i plebanją przerwały się wszelkie stosunki, odwrócili się od nich na zawsze, bo tam już panował obcy język, obca wiara i ludzie obcy; niczyja noga już nie postąpiła nawet na przycerkiewnym cmentarzu.

Modlili się po domach, skrycie, albo po lasach, gdzie zbierano się na uroczyste nabożeństwa, dzieci

¹⁾ Po rosyjsku — odporne.

chrzczono tylko z wody, tymczasowo, zmarłych grzebano pokryjomu, nocami, starannie równając mogiły z ziemią, żeby ich strażnik nie dostrzegł i nie nakazał pochować nieboszczyka po raz drugi, a według nienawistnego im obrządku; małżeństw nie zawierali dla tych samych powodów, ślubów t. zw. «krakowskich» ¹⁾ jeszcze wtedy nie było. Narzuconej im cerkwi nie chcieli, a do kościoła nie było wolno, czekali więc ufnie i cierpliwie na odmianę strasznego losu, znosząc tymczasem tysiączne przykrości od władz.

Żyli pod ciągłym strachem i groźbą, zdani na łaskę i niełaskę strażników, żyli, jakby wyłączeni ze społeczności, niby stado dzikich zwierząt, odgrozione od świata i ludzkiego życia nieprzebytym gąszczem praw, zakazów, sztrafów i więzień.

A pomocy nie było nikąd. Przed «opornymi» zamykały się wszystkie drzwi, uciekano przed nimi, jak przed zadżumionymi, wypędzano ich nawet z kościołów, strach szedł przed nimi, a czujne oczy za nimi. Ale, chociaż rany bolały ich podwójnie, chociaż jadła ich nędza, sztrafy odbierały ostatni kęs chleba, prześladowania gnębiły, chociaż odstąpili ich ludzie, walczyli jednak dalej w ponurem osamotnieniu, walczyli do ostatniego tchnienia o prawdę umiłowaną, dla której już zniesli wszystko i wszystko, jeszcze byli gotowi przecierpieć.

Tak przeszło do 1876 roku, w którym na Hrudę zważyło się nowe, chociaż już oddawna groźnie

¹⁾ Unici przekradali się przez kordon do Galicji i tam brali śluby i chrzcili dzieci. Takie chrzty i śluby zwano powszechnie krakowskimi.

wiszące nieszczęście. Pewnego bowiem dnia przy końcu marca przyszedł surowy rozkaz, aby natychmiast sprowadzono do cerkwi wszystkie dzieci, dotąd jeszcze nie ochrzczone.

Jakby piorun trzasnął z jasnego nieba; wieś zawrzała, krzyk trwogi podniósł się po chałupach, płacz i lamenty zakwiliły żałośnie, ludzie biegali, jak oszaleli, nie wiedziano, co począć, załamywano bezradnie ręce, mróz przejmował kości, a strach dygotał każdym sercem, jeszcze bowiem na wsi pełno było śladów «dawnego», jeszcze niektórzy mieli niezagojone rany, jeszcze domy po wysłanych stały pustkami...

«Co robić? Co robić?» — trzepotały się trwożliwe, zalawione szepty.

Nikt nie umiał odpowiedzieć, ale też nikomu ani postało w głowie, żeby usłuchać rozkazów. Tyle lat się opierali, tyle kar zapłacili, tyle się nacierpieli. a teraz mieliby się zgodzić dobrowolnie, mieliby oddać dzieci na wieczną zatrutę?...

Włosy powstawały ze zgrozy, zaciskały się pięście, jęk rozdzierał zgębnione serca, lecz równocześnie rodził się w tych bohaterskich duszach niezłomny opór, podnosiły się dumnie czoła, i oczy zaczynały nieulekłe patrzeć na zbliżającą się znowu niedolę...

I bez wrzasków, bez długich namysłów porozumieli się prawie w mgnieniu oka, i wszyscy już poczuli to jedno: że dzieci w cerkwi ochrzcić nie pozwolą, chociażby im za to przyszło zapłacić życiem...

A zaledwie się porozchodzili po domach, gdy

Z ziemi chełmskiej.

na kilku wozach przyjechali strażnicy z wójtem na czele, aby dopilnować spełnienia rozkazów.

Cerkiew już czekała otwarta, więc wójt wraz z całą kohortą ¹⁾ chodził po wsi, wyczytując z listy, ile dzieci powinni wyprowadzić z każdej chałupy.

Cała wieś wyległa przed domy, chłopci drapali się frasośliwie po głowach i słuchali w milczeniu, kobiety stały po progach z dziećmi na rękach i również się nie odzywały, były tylko dziwnie blade, zgorączkowane i patrzyły, jak rozjuszony wilczyce, ale po przejściu wójty, i gdy chłopci pociągnęli za nim, zniknęły gdzieś bez śladu, a chałupy zawierały się śpiesznie, cicho i jedna po drugiej...

Wójt się naraz obejrzał i, ujrawszy samych mężczyzn, zawołał:

— A gdzie baby? Gdzie dzieci?...

Ponure, ciężkie spojrzenia posypały się na niego jakby kamiennym gradem.

Nie pytał już więcej, a tylko zaczął kopać w pierwsze lepsze drzwi a ryczeć:

— Wychodzić! Wychodzić, bo za łby wszystkich was powyciągam!

Tylko pieski zaszczekały mu w odpowiedzi, ale ani jedna głowa się nie ukazała; domy stały jakby wymarłe i opuszczone, a wszystkie okna i drzwi miały pozamykane od środka.

Krzyknął na chłopów, żeby otwierali; nikt się nawet nie poruszył, a tylko któryś wyrzekł posępnie:

¹⁾ Kohorta (z łac.) — oddział piechoty w Rzymie starożytnym; tu — w znaczeniu gromada, oddział strażników rosyjskich.

— Niech je pan wójt sam sobie otwiera!

Rzucił się z wściekłością na jakieś okno i odskoczył ze skowyt, jak pies od jeża, bo dostał ukropem w twarz, więc, ledwie dysząc z gniewu, rozkazał brać domy szturm, jak fortecę.

Niełatwo to jednak poszło, gdyż okna i drzwi były zatarasowane od wnętrza skrzyniami, szafami i czem się tylko dało, a kto się bliżej podsunął, brał kijem, wrzątkiem lub pięścią.

Chłopi stali na środku drogi, przypatrując się wszystkiemu z wielką cierpliwością...

Chałupy aż się trzęsły od wrzasków, kobiety walczyły, jak lwice, odpierając szturm za szturm; co chwila rozlegały się ryki bólu, przekleństwa, straszliwe płacze dzieci, trzask pękających desek, brzęk tłuczonych szyb, szczekanie psów i huki belek, któremi wybijano drzwi, niby taranami, że rozlatywały się w drzazgi.

A kiedy wreszcie przełamano pierwsze przeszkody, wdarto się do niskich, ciemnych sieni, zawrzała ręczna walka, i wybuchły dzikie wrzaski, broniły się bowiem coraz zajadlej i coraz rozpaczliwiej.

Wkońcu zdobyto parę chałup, ale wszystkie kobiety momentalnie pochowały się wraz z dziećmi w kominy i piece od chleba, że musiano zdobywać każdą z osobna.

Broniły się już zębami i pazurami, gryzły i drapały, a oszalałe rozpaczą, pijane walką, podarte jak łachmany, okrwawione, zbite, całe w ranach i sińcach, walczyły wciąż z jednakiem męstwem, niby wilczyce, opadnięte przez rozjuszony ogary.

Lali je wodą, rzucali w kominy zapaloną słomę, żeby je wykurzyć dymem, jak lisy, próbowali wyciągać bosakami¹⁾, ale nic nie pomogło.

Przetrzymały wszystko!

Musieli je odstąpić, gdyż noc się już robiła, i chłopci przybierali coraz groźniejszą postawę. Wójt zagroził wsi strasznemi karami za opór i odjechał z całem towarzystwem.

Cerkiew zamknięto, wszystko wróciło do dawnego, i narazie zapanował spokój.

Nie na długo jednak, bo już w początkach kwietnia, któregoś dnia na samem świtaniu, zahuczał nagle dzwon na trwogę i rozniosły się złowrogie krzyki:

— Wojsko idzie! Ratujcie dzieci, kto w Boga wierzy!

Przy kołowrocie już zabrzmiały warkoty bębnow, szczęki broni i ciężkie, marszowe tupoty.

Taki huragan przerażenia zwałił się na ludzi, jakby pożar ogarnął całą wieś; i nie było już żadnego ratunku, wypadali z chałup nieprzytomni, a chociaż strach porywał za włosy, i trwoga wyla w sercach, stali w jakimś nagłym skamienieniu i patrzyli ślepiemi oczami na długą kolumnę wojska.

Śmiertelna cisza opadła, nikt nie śmiał się poruszyć, byli jakby sparaliżowani, ale, kiedy zdawało się, że już wszystko przepadło, serca matek przemówiły: pozbierały dzieci, ogarnęły je naprędce i, jak która stała, bosą i w koszulach, zaczęły się niepo-

¹⁾ Bosak — drąg z strzmem żelaznym i z hakiem na końcu.

strzeżenie wymykać do sadów, potem chyłkiem za stodoly, potem w pola i przepadły w szarudze i w skoltunionych świtowych mgłach.

Wojsko zajęło wieś, i wyszedł rozkaz, aby wszystkie kobiety z dziećmi zebrały się pod cerkwią. Naturalnie nie zjawiała się ani jedna; były już w bezpiecznem schronieniu.

— Ale gdzie się podziały? — pytano groźnie, przetrząsając dom po domu.

Chłopi milczeli, niepodobna było wydobyć ani słowa.

— To poczekamy, aż powrócą! — powiedział dowódca, i wojsko rozłożyło się po chałupach.

Dopiero po śladach zrozumiano, gdzie się schroniły; otoczyli więc las patrolami, przecięto komunikację ze wsią i srogo pilnowano, żeby nikt nie wynosił im żywności.

Byli pewni, że rychło je przypędzi głód i zimno.

— Kwoczki podmiękną i wrócą na grzędy! — pokpiwali żołnierze.

Ale przeszedł dzień, dwa, trzy, — nie powróciły.

A wieś szarpała się w strasznej trwodze i niepokojach, robota leciała z rąk, poruszali się nieprzytomnie, boć wszystkie oczy wciąż wisiały na chmurze borów, boć wszystkie dusze rozdzierała rozpacz bezsilności, więc tylko płakano z wściekłości, modlono się żarliwie i czekano jakiegoś cudu.

Przeszedł cały tydzień, i nie powróciła ani jedna.

Bór stał czarny, ogromny, niezgłębiony, a pod

jego wyniosłemi ścianami błyskały gęsto najeżone bagnety.

Wiosna tego roku była dziwnie mokra, zimna i wietrzna; codzień szły nieskończone szarugi, codzień wichry z dzikim, rozżartym skowytym spadały na wieś, przelewały się po polach i biły w bory, które szamotały się tak rozpaczliwie i wyły tak przejmująco, że ludziom się wydawało, jako słyszą w tych jęklowych poświstach bolesne zawodzenia kobiet, płacze dzieci, a nawet mrozące krew wołania konających.

A niekiedy, gdy przychodziły spokojne noce, i księżycowa poświata zalewała omglone pola, i las stał przelśniony, cichy i zadumany, to niejeden byłby przysiągł, że widzi między pniami białe widma, które wyciągają błagalnie ręce i coś krzyczą, i czegoś się skarżą, i czemuś się żalą...

Przeszedł drugi tydzień, nie powróciły!

Dnie już szły niewypowiedzianie przykre, wlokły się nudnie i ociężale, sączyły się, jakby palące żalością łzy. Pora była robót wiosennych, pola krzyczały o pługi, o ziarno, ale miał to kto głowę do roboty, kiedy troska wypijała każdą myśl i moc wszelką! Nawet sen nie przynosił ukojenia, bo noce schodziły na rozgorączkowanym oczekiwaniu, bo, co tylko wiatr tknął okien, to się już zdawało każdemu, że się ktoś pod ścianami przemyka, że ktoś puka, że ktoś nadchodzi.

Przeszedł trzeci tydzień, nie powróciły.

Na świecie zaczęło się nieco wypogadzać, i przy końcu kwietnia zdarzały się już dni cieplejsze i słoneczne; puszczały się trawy, ruszały oziminy, pękały

drzewa, kaczeńce obsiadały łąki, ptactwo zaczynało krzyżeć po sadach i gąszczach, rankami klekotały bociany, a skowronki całe dnie dzwoniły pod jasnym, czystym niebem, wiosna szła wszystkim światem i śpiewała coraz potężniej swój hymn nieśmiertelny; ale nie widziały jej oczy, zaropiałe od nieustannych, gorzkich łez, nie czuły jej dusze, przegrzane męką, i nie było jej po chatach, pełnych tylko płakania, żałoby i beznadziejnego smutku.

Przeszedł czwarty tydzień, nie powrócili!

Ludzie ślaniali się, jak cienie, poschnięte od gorączki, a wieś stała się niemilknącym lamentem pieśni pogrzebowej; codzień wieczorem w każdej chałupie paliły się gromnice, i odmawiano modlitwy za konających, a długo w noc były ku rozgwiażdżonemu niebu płacze serdeczne, były żebracze prośby, były westchnienia, przejęte wiarą i ufnością...

Przeszedł piąty tydzień, nie powracali.

Wieś dochodziła już do szaleństwa, wielu rzucało się prosto na bagnety, aby się przedostać do lasów i raczej umrzeć, niżli dłużej znosić to straszliwe oczekiwanie, ale żaden nie przerwał tej żelaznej obręczy, i wracali jeszcze bardziej smutni i udręczeni.

Przeszedł szósty tydzień — nie powrócili!

Wreszcie i wojsko miało już dosyć tego oczekiwania i wymaszerowało z Hrud.

Wtedy cała wieś, jak jeden człowiek, rzuciła się naprzelaj do lasów, a jeszcze nie dobiegli, gdy z mrocznych głębin zaczęły się pokazywać jakieś mury; szły zgarbione, o kijach, prawie nagie, wynędzniałe, rozkudłone, szerniałe, podobne do szkie-

letów, ale radosne, jak słońce, jak wiosna triumfujące i jak samo życie niewyciężone!...

Zwalczyły głód, strach, opuszczenie, zimno i choroby; zwalczyły samą śmierć, ocaliły dzieci, i oto wracały te wielkie, te bohaterskie, te święte dusze w domowe progi, do codziennego trudu i do codziennej walki.

.....

A na zakończenie bolesnej sprawy tych chrztów przymusowych przytoczę już ostatnią scenę, jaka się jeszcze rozegrała w tych samych nieszczęsnych Hrudach i w tymże 1876 roku.

Po wyjściu wojska i powrocie kobiet z lasów życie popłynęło zwykłym łożyskiem codziennych zabiegów, kłopotów i nieustających lęków. Wprawdzie matki zwyciężyły narazie, ale ni one, ani też nikt w całej wsi nie łudził się ani przez jedną minutę, żeby to wszystko miało się już skończyć na zawsze; dobrze bowiem widzieli, jak pop się przyczaja, jakby tylko wyczekując sposobnej chwili. Mieli się więc również na baczności, oczekując ze drżeniem jeszcze strasznego ciosu. Kobiety z dziećmi sypiały po strychach, obórkach i stodołach, aby w każdej chwili, na każdy sygnał niebezpieczeństwa znowu uciekać do borów, a chłopci dniami i nocami stróżowali po wszystkich drogach.

Nie upilnowali jednak, gdyż w parę tygodni później, pierwszej ciemnej i zadeszczonej nocy, do chałupy Apolonji Szuckiej, jednej z matek najbardziej opornych, ktoś zapukał.

Chałupa stała nieco w głębi, na końcu sadu;

w izbie była tylko Szucka z kilkoletniem dzieckiem, bo mąż został już przedtem wysłany, więc, dosłyszawszy pukanie, strwożyła się, ale poszła do okna i zapytała:

— Kto tam?

Za szybami mignęły jakieś złowrogie twarze, szcześnie pałasze, i rozległy się takie głosy, od których ścierpła jej skóra. Zrozumiała natychmiast, kto się dobija i poco.

Porwała dziecko na ręce i, oszalała ze strachu, rzuciła się do ucieczki, ale już stali pod drzwiami i oknami, chałupa była otoczona, i zewsząd groźnie krzyczeli:

— Otwierać! Otwierać!

Kolby coraz niecierpliwiej waliły o ściany.

Stała przez chwilę na środku izby, nie wiedząc, co począć, i napróżno szukając jakiegoś ratunku, i tak skamieniała przerażeniem, że nie mogła się poruszyć; dopiero kiedy drzwi zahuczały pod uderzeniami kolb, i okna z brzękiem posypały się na ziemię, skoczyła na strych, wydarła dziurę w poszyciu i zakrzyczała straszliwym głosem rozpacz:

— Ratunku! Ratunku!

Ale drzwi niedługo się opierały, i z dzikim wrzaskiem runęło do środka kilkunastu ludzi. Ściągnęli ją nadół, zbili, sponiewierali, jak łachman, i chociaż broniła dziecka, jak rozwścieklona wilczyca, odebrali je nawpół zduszone w szamotaniach i ponieśli z triumfem do cerkwi.

Szucka zawyla wniebogłosy, napróżno usiłując odebrać swoje dziecko; napróżno miotła się na nich z dzikim skowytom rozpacz, napróżno rzucała

się przed nimi na kolana z płaczem i błaganiami, wlokła się im u nóg i całowała po butach, wszystko było napróżno; ale, sto razy odpędzana, bita kolbami, tratowana, podnosiła się wciąż z nowym krzykiem i z nowymi siłami, tylko w coraz straszliwszem zapamiętaniu i boleści.

Cała wieś rozbudziła się w mgnieniu oka, kobiety z dziećmi uciekały do lasów, a reszta wypadła na drogę i wlokła się wzburzona i ponura za strażnikami, nie odważając się jednak odbijać dziecka, które zanosilo się płaczem, bo matka raz po raz rzucała się ku niemu na ostry, nieprzebyty las bagnetów i ryczała:

— Ludzie, oddajcie mi dziecko! Ludzie, miłosierdzia!

Strażnicy uciekali z łupem coraz prędzej, jak stado wilków, odcinając się na wszystkie strony kłami bagnetów i przekleństwami, gdyż krzyk Szuckiej tak rozdzierał serca, że chłopci występowali z coraz groźniejszym pomrukiem; wreszcie cerkwi dopadli, i ciężkie, okute drzwi zawarły się z hukiem za nimi.

Szucka rzuciła się na nie z wściekłością -- były zawarte na sztaby.

— Oddajcie mi dziecko! Nie chcę waszej wiary! Ono już ochrzczone! Nie gubcie jego duszy! — krzyczała, nadaremnie targając drzwiami. Potem oblatywała cerkiew i darła się po gładkich murach do oświetlonych okien, ale posłyszawszy płacz dziecka, wpadła w furję i biła ogromnemi kamieniami w ściany, biła sobą, rwała cegły okrwawionemi rękami, gryzła żelazne okucia drzwi, to znowu, przypadłszy do gromady, stojącej w ponurem milczeniu,

i, zaskowyczała chrapliwie ostatkami sił i ostatkami przytomności:

— Ratujcie mi dziecko! Nie dajcie na wieczną zatrutę! Chłopiec ma czwarty rok! Już umie cały pacierz, nasz polski, nasz katolicki pacierz! Jasio ma na imię! Mało przy nim nie umarłam! Był ochrzczony zaraz po urodzeniu! Przecież go zapisali, żyją jeszcze kumy, wszyscy wiedzą! Zlitujcie się nade mną! Wzięli mi męża, matka skończyła pod batami, w chałupie niema ani skibki chleba, zostało mi tylko to jedyne dzieciátko! A teraz mi je zabierają! Zostanę sama jedna na świecie! Przecież tak samo mam plecy niezagojone, przecież, jak i drugie, broniłam i nie dałam! Czy to już koniec świata! Czy to już niema Boga i sprawiedliwości! To niech mnie już dotłuką, jak psa, byle tylko dziecka nie gubili! Ludzie! Ratujcie! Ratujcie!

Wszyscy płakali, słuchając tych straszliwych lamentacyj, rzęsiste łzy broczyły po zoranych cierpieniami twarzach, szlochy rozrywały serca, i jak ten deszcz, trzepiący w liście drzew, okalających cerkiew, tak smutnie szemrały beznadziejne płacze, żalosne westchnienia i bezsilne jęki.

-- Woła mnie! Woła! Słyszyciel — wrzasnęła naraz nieludzkim głosem, rzuciła się naoślep do cerkwi i padła zemdlona.

Odnieśli ją do chałupy i ledwie się docucili.

Świt się już zrobił, i szary, zadeszczony dzień zajrzał w jej oczy, smutkiem wyżarte, gdy, zupełnie oprzytomniawszy, jęła się rozglądać po izbie. Już ani jedna łza nie pociekła po skamieniałych policzkach, ani jedno słowo skargi nie wyrwało się z pier-

si, ani jedno pytanie nie padło, ale była taka trupio blada i takimi bez dna oczami patrzała, że nikt nie śmiał do niej zagadać, i wkrótce się porozchodzili.

Pozasiawiała drzwi powybijane i okna sprzętami, szafami i czem jeno mogła, rozpałiła gromnicę przed obrazem Częstochowskiej, uklękła i zaczęła czytać z książki modlitwy za umarłych.

A może w jaką godzinę, już o dobrym dniu, ktoś zaczął się dobijać do chałupy.

Nie usłyszała, zatopiona w żarliwej modlitwie, dopiero jakieś ciche dziecinne kwilenia poderwały ją nagle z klęczek. Wyjrzała oknem i aż się zoczyła na ścianę, ale się przemogła i, przypadłszy twarzą do ziemi, modliła się jeszcze goręcej.

— Otwórzcie, przynoszę wam dziecko! — zakrzeczał niecierpliwie jakiś głos za oknem.

— Nie mam już dziecka! — rozległ się grobowy głos matki.

— Tylko bez «szutek»! ¹⁾ Odnoszę wam Fieduszkę, i musicie wyprawić chrzciny!

— Precz! Nie mam dziecka! A jak mi to cudze szczenię wpuścicie do chałupy, to je zatłukę, jak psa! — powiedziała jakimś obłąkańczym głosem, że strażnik posadził dziecko pod ścianą i uciekł.

Szucka modliła się dalej, wołając skrwawionem sercem o litość i miłosierdzie.

Dzień był zimny i wilgotny, deszcz padał i zacinał w okna, czasem wiatr zamiatał drzewami, a pod ścianą w błocie i kałużach gmerało się rozplakane dziecko, macało po drzwiach, usiłowało do-

¹⁾ Szutki (po rosyjsku) — żarty.

osięgnąć okna, i co chwila rozlegał się płaczliwy, słaby głosik:

— Mamol! mamusiul! wpuście Jasia! wpuście! Szucka, jakby rozpięta na krzyżu męki nad ludzkiej, umierała z bólu, ale nie otwierała.

Na szczęście, któryś z sąsiadów dosłyszał płacz dziecka i krzyknął do chalupy:

— Bójcież się Boga, przecież dziecko ledwie już zipiel!

Wyjrzała oknem, jakby zakłopotana, i z jakimś dziwnym uśmiechem szepnęła:

— Cichocie, dziecko mi co dopiero usnęło...

— Jakże! Co wam się troi po głowie? Przecież... — cofał się przed jej obłąkanym wzrokiem.

Położyła palec na ustach, siadła przy kołysce i zaczęła kołysać.

Nie pomogły żadne perswazje ¹⁾, ni nawet żałosne kwilenia dziecka, nic już bowiem nie rozumiała, tylko, zapatrzona w pustą kołyskę, poruszała nią troskliwie i nieustannie.

Naszło się więcej ludzi, jeśli się nad nią wyżyłać, próbowali nawet ratować, ale nie zwracała na nich uwagi, a tylko kiedy niekiedy prosiła błagalnie i gorąco:

— Cichociel! Śpi mój robaczek najmilejszy, śpi! Cichociel!

Postali, pokiwali nad nią głowami, dziecko zaprał ktoś litościwy, i porozchodzili się.

Dziecko w parę dni później umarło.

¹⁾ Perswazja (z łac.) — namawianie, tłumaczenie ko
nu, doradzanie.

Powiedzieli jej o tem; uśmiechnęła się i, wyjąwszy z kołyski kukłę, uwiłtą z galganów, opowiadała tajemniczo, rozglądając się przytem trwożnie dokoła:

— Wiecie, nie dałam Jasia! I nie oddam! Nie oddam!

Siadła pod ścianą, kukłę przytuliła do piersi i, huśtając ją, śpiewała bezprytomnie:

«A! a! kotki dwa! Szare, bure obydwu»!

V.

Jechałem z Brześcia Litewskiego traktem, ciągnącym się na Kodeń, Sławatycze, Włodawę, Sawin do Chełma. Miałem znowu przed sobą parę znojnych dni, a do zrobienia końmi kilkanaście opętanych mil, że musiałem sobie drogę podzielić na etapy. Na pierwszy, do Sławatycz, wioził mnie dworski furman, stary wyjadacz ¹⁾, bywalec i gadatywus ²⁾, który kraj okoliczny i ludzi, i wszystkie sprawy znał, jak swoje konie, a przez całą drogę zabawiał mnie opowiadaniem.

— Państwo wołają na mnie Iwan — objaśnił, zbierając w garść lejce.

Obsadziłem się w bryczce, bat świsnął, i konie poderwały się z miejsca.

— A naprawdę, to mi jest Nikon, ale taka już dworska moda, żeby forszmanom ³⁾ od cugowych

¹⁾ Wyjadacz — człowiek doświadczony w różnych wypadkach, sprytny, szczwany; ²⁾ gadatywus — gaduła; wyraz, utworzony na wzór łacińskiego; ³⁾ forszman (Foszman Forszpan — z niem.) — woźnica.

było Jan albo Mateusz. Tu nad Bugiem każą być Iwanem! — zaśmiał się, paląc siarczyście z hata i skręcając na szeroką, błotnistą drogę.

Wyjeżdżaliśmy o świcie, przed słońcem, gdy jeszcze cała nizina nadbużańska tonęła w puszystych, białych kożuchach mgieł, a tylko na wschodzie, nad czarnymi chmurami borów, rozsączały się pierwsze, złociste zorze. Na czarnej, wyboistej drodze kałuże siwiły się, niby zmatowane rosą szyby. Gdzie niegdzie z pól omglonych wybuchały kępy drzew, jak szare, przemiękłe pióropusze. Surowy, rzeźwy chłód zaciągał od Buga. Rosy pokrywały ziemię, jakby szronem srebrnawym i perlistym. Wsie jeszcze spały; szare, niebielone chałupy zaledwie majaczyły w głębinach rozemglonych sadów. W niezgłębionej cichości było tylko słyszeć ledwie pochwytny chrzęst zbóż, a niekiedy zabrzęczał ściszony bełkot jakiegoś niedojrzanego strumienia.

— Złodziejska godzina. Nawet psy się pospały! — mruknął Iwan.

Byłem niezmiernie senny i pragnąłem się nieco przedrzemać, ale djabelskie podskakiwanie bryczki na wybojach nie pozwalało zasnąć ani na chwilę. Dopiero, kiedyśmy wjechali w piachy, zacząłem się swolna pogrązać w niebiańskie rozkosze snu.

— Boćki jeszcze siedzą po gniazdach, to pewna pogoda — huknął mi nad uchem Iwan, wskazując biczem na drzewo.

Zakląłem cicho, ale sen przepadł, a on pogadywał coraz żarliwiej:

— Kopy pływają, jak kaczk. Nie będzie latoś siana, zgnoi się na nawóz. Nowa bieda dla ludzi!

Jakby starych było jeszcze za mało!... Stary, bo weźmiesz po portkach, uważaj! — krzyknął groźnie, przypinając koniom po takim bacie, że poderwały się gwałtownie, a ja tylko jakimś cudem nie wyleciałem z bryczki.

— Zna pan podlaskie strony?

Odwrócił się nieco do mnie. Zobaczyłem krótki, drapieżny profil, suchy, garbaty nos, przycięte wąsy, siwe baczki i małe, wielce ruchliwe oko.

— Znam, ale bardzo mało.

— To musiał pan widywać i tę szlachtę podlaską? Wielka mi szlachta: worek i płachta! — dodał wzgardliwie i, nie czekając mojej odpowiedzi, ciągnął dalej: — To chytry naród! Znam ich dobrze! Służyłem w jednym dworze pod Węgrowem. Tam, panie, po wsiach prawie niema chłopów, a tylko siedzi sama szlachta. Takiemu nieraz palce z butów wylażą, a każe sobie mówić «panie». W pięciu mają jedną krowę. A jak pies siądzie na polu takiego dziedzica, to niema gdzie podziać ogona; musi go kłaść aż u sąsiada. Sklepikarze z nich tylko zmyślniejsze, niżli Żydy. A na grosz chciwe, a honorne, a zabijaki, że niech Bóg broni! Ale Polaki dobre i katoliki przykładne. Śmieszne tylko juchy, że ażę boki zrywać.

Żebyśmy chciał o nich opowiadać wszystko, to bym nie skończył i do wieczora. A wie pan, jak to taki szlachcic chciał się dostać do nieba?

Nie odezwałem się, poranek bowiem stał się przecudny, i gdzieś z oparów nadbużańskich, czy z pól omglonych, nadpływał jakiś śpiew, śpiew nieco ściszony oddaleniem, lecz niezmiernie uroczy-

sty, jakby święty chór tych świtań, zórz i nadchodzącego słońca.

— Co to za śpiewy? Słyszycie?

— Pewnie jaka kompanja ciągnie do świętego Onufra.

Śpiew buchał z jakiejś drożyny, ciągnącej się równolegle z naszą drogą, ale wśród zbóż i oparów niepodobna było dojrzeć ludzi.

A świt robił się już opalowy i przesycony zorzami, mgły unosiły się w górę i z pod nich błyskały zmatowane smugi porozlewanych wód, czarne, prze miękkie role i pochylone żyta. Drzewa i wsie wyrosły coraz wyraźniej i bliżej. Zawiał pierwszy wiatr, ale tak cichy i pieszczotliwy, że ledwie się poruszały senne, opite rosą kłosa i liście zagmerały bez szelestu. Skowronek zaświergotał, a po nim wnet drugi, trzeci, dziesiąty bił skrzydłami a dzwonił w ciszy swój pacierz poranny. Bociany leciały nisko nad ziemią, gdzieś ku Bugowi. Jakiś tęskny, przeciągły ryk zadrgał w zrózowionem powietrzu. Koguty już zaczynały pisać tu i owdzie. Dzień się zbliżał, i wschodnia strona nieba nabrzmiewała purpurą i świetlistym majestatem jeszcze niedojrzanego słońca.

— Widzę, że i tutaj dużo nowych krzyżów — odezwałem się, wskazując na jakiś świeżo dźwignięty do góry i jeszcze niepomalowany.

— Ady¹⁾ tyle nastawiali, że, gdyby człowiek zważał na nie, to musiałby chodzić z czapką w garści — odburknął jakoś niechętnie.

¹⁾ Ady, adyc (gwar. lud.) — a przecie, wszak.
Z ziemi chełmskiej.

— Nic dziwnego, bo dawniej nawet przewalonych nie było wolno podnieść.

— Dużo im przyjdzie z nowych! Tylko drzewa namarnują!...

— Przecież i prawosławni swoje stawiają...

— Jak im naczelnik przykaże i dobrze zapłaci, to stawiają! — warknął złośliwie, osadzając konie na miejscu, gdyż nagle wychyliła się ze zbóż kompanja i wchodziła na naszą drogę.

Na przedzie jaśniał złocisty, ośmioramienny krzyż, a za nim cisnęło się kilkadziesiąt starych bab i wyrostków. Przyklękli na chwilę pod krzyżem, i ktoś zaintonował czystym, donośnym głosem:

Kiedy ranne wstają zorze...

Tłum ruszył i zawtórował pełną piersią, aż pieśń podniosła się nad pola nieobjęte i biła ku wschodzącemu słońcu:

Tobie ziemia, Tobie morze...

Śpiewali po polsku; słyszałem każde słowo, a nie mogłem uwierzyć.

Jechaliśmy tuż za nimi, wolno, bo mój Iwan również zaśpiewał:

Tobie śpiewa żywioł wszelki:

Bądź pochwalon Boże wielki.

— A skąd kompanja? — spytałem chłopą, idącego obok mojej bryczki.

— My, panie, z Olszanki — odpowiedział przeciągle, czystą polszczyzną.

— A gdzie to dzisiaj odpust?

— W Jableczyńskim monasterze ¹⁾), praznik ²⁾) świętego Onufrego.

— To kompanja prawosławna?

— Prawosławna, panie.

— Prawosławna i śpiewa po polsku? — Nie mogłem się połapać.

— A po jakiemuż mają śpiewać? Przecież po moskalewsku ³⁾) nie poradzą odmówić nawet pacierza... — podniósł na mnie zdumione oczy. Ja również patrzyłem w niego, zdziwiony tem niespodzianem wyjaśnieniem.

— Siadajcie, podwiozę was kawalek drogi.

Wgramolił się na bryczkę, pochwaliwszy Boga polskim obyczajem.

Zaczęliśmy pogadywać o tem i owem; chłop był chytry, odpowiadał wymijająco i sam mnie ostrożnie wybadywał, ale wkońcu rozgadał się do syć szczerze.

— Jak odłączą Chełmszczyznę, to wam zabronią mówić po polsku...

— Musieliby strażników stawiać w każdej chałupie. — Machnął lekceważąco ręką. — A po jakiemu to mamy mówić? Dawniej, jeszcze za Unji, to po wsiach gadali po naszymu, po chłopsku ⁴⁾), ale teraz już mało kto rozumie, chyba starzy. Młodzi się nawet tego wstydzą.

¹⁾ Monaster a. monastyr (z greck.) — kościół i klasztor, zwłaszcza wyznania prawosławnego; ²⁾ praznik a. prazdnik (rosyjsk.) — święto, odpust, święto patrona cerkwi; ³⁾ po moskalewsku (gwar.) — po moskiewsku, po rosyjsku; ⁴⁾ po chłopsku — po rusku, t. j. językiem rusińskim.

— Ale podpisywaliście się za odłączeniem Chełmszczyzny?

— Podpisywałem się, panie, bo mi kazali. Zwołali nas do popa i wytłumaczyli, że jak odbiorą Chełmszczyznę od Polski, to wszystkie pańskie ziemie darmo rozdadzą między prawosławnych.

— Obiecanki cacanki, a głupiemu radość — rzucił Iwan.

— Najwięksi urzędnicy obiecali, to może i dadzą...

— Dostaniecie tyle, że wam sam djabeł z pleców nie odbierze. Pamiętacie, jak to brali oporni? — dogadywał Iwan.

Chłop milczał długą chwilę, a wkońcu rzekł najspokojniej:

— A jak nam ziemi nie dadzą, to się wszyscy przepisujemy na katolików.

Oniemiałem ze zdumienia, lecz Iwan zaczął się głośno śmiać.

— Nie mówię na śmiech — zgromił go tamten surowo i ciągnął bardzo poważnie i z przekonaniem: — Ten sam Pan Bóg jest w kościele, co i w cerkwi. Ale w kościele jakoś milej, bo i nabożeństwo ładniejsze, i pośpiewać można, i muzyka gra, i z procesjami chodzą, i ksiądz czasem na kazaniu powie tak prosto do serca, że człowiek się wypłaczę, i zaraz mu ulży. Już mi nawet dzieci grożą, że, jak tylko dorosną, to się zaraz przepiszą. Przecież wszystkie dziewczyny i chłopaki z całej wsi co niedziela latają do kościoła. Do cerkwi to ich nawet kijem nie napędzi. Bo jedna wiara powinna być dla wszystkich; a przez to, że jeden dom katolicki,

a drugi prawosławny, to po wsiach tylko ciągle kłótnie, gniewy i obraza Boska, i zgorszenie. Nawet Żydy się wysmiewają, że w każdej chałupie innego dnia jest święto.

— To czemu się nie przepisiecie na katolika? — spytał go Iwan.

— A jakby nam ziemię rozdali?

— To nie wiecie, co w Hrubieszowie powiedział chłopom wasz biskup?

— Coś mi tam mówili, ale nie pamiętam co.

— Przyszli się upominać o grunta, obiecano przy podpisaniu, to im rzekł: «Ziemia nie guma, to jej dla was nie rozciągnę».

— I naprawdę tak powiedział? — pytał ściszym, trwożnym głosem.

— Słyszało więcej, niż sto ludzi. I powiedział prawdę. Cudzego przecie nie weźmie, nie dadzą, a wam nie odda!

Dosyć długo mu o tem wykladał, aż chłop sposepniał, twarz mu się poradliła brózdami troski, oczy przygasły, i wkońcu skinął mi głową, wyskoczył na ziemię i powlókł się na samym końcu kompanji, sro-dze zadumany.

Wyminęliśmy kompanję, tak wolno, że miałem czas ją przeliczyć: wszystkiego szło trzydzieści osiem osób.

— Jakoś niewiele ludzi ciągnie na prąznik — zauważyłem.

— Bo teraz już nie placą za «bohomolje» ¹⁾ po

¹⁾ Bohomolje — wyraz rosyjski, oznaczający modlitwy i nabożeństwa podczas pielgrzymek.

praznikach i cudownych miejscach, to się ludziom niesporo wybierać na własny koszt! — zaśmiał się Iwan, popędzając konie. Ale, dojrzaawszy moje niedowierzanie, dodał cynicznie:

— Sam dawniej brałem strawne¹⁾ za takie spacery. Wychodziłem się niemało! Byłem z «bohomołcami»²⁾ w Poczaïowie i w Ławrze kijowskiej, i w Leśnej, i w Radecznicy³⁾, wszędzie, gdzie mi kazali.

Leciałem z ochotą, bo wyżerka⁴⁾ po monastarach była za darmo i gorzałki, wiele tylko dusza chrześcijańska strzymała. Ale teraz zmądrzeli, już pieniędzy nie dają, to i bohomołców z naszych stron coraz mniej.

— To wyście prawosławni?

— Przecież każdemu są miłe własne kości. Napatrzyłem się przy zniesieniu Unji tyle, że mi wy-

¹⁾ Strawne (gwar. — strawunek) — pieniądze na strawę, na wyżywienie się; ²⁾ bohomołec (gwar.) — pielgrzym do miejsc świętych; ³⁾ nazwy miejscowości, dokąd organizowano pielgrzymki i z Chełmszczyzny unickiej. Poczaïów, miasteczko w pow. krzemienieckiem na Wołyniu, słynne ze starożytnego kościoła, z cudownym obrazem N. Marii Panny, który już w XVI w. ściągwał tłumy pobożnych pielgrzymów. Kościół i klasztor bazylijański rząd rosyjski zabrał i zamienił na jeden z ośrodków propagandy prawosławia. Ławra kijowska — słynny w całej Rosji klasztor z relikwiami świętych kościoła prawosławnego. Leśna i Radecznicza — wsie w ziemi lubelskiej. W Leśnej jest kościół i klasztor Paulinów, za rządów rosyjskich zamienione na prawosławne; celem pielgrzymek był cudowny obraz Bogarodzicy; Radecznicza również posiada kościół z cudownym obrazem św. Antoniego; ⁴⁾ wyżerka — smaczne i obfite jedzenie.

starczy do sądnego dnia. Widziałem, panie, jak całe wsie pławiły się pod batami we krwi; widziałem, jak marli ludzie pod pratulńskim kościołem; widziałem, jak setkami wlekli do więzień i wyganiali w świat. Przecież i moja wieś się opierała i brała nahaże, to i ja brałem swoją część i wraz z drugimi poszedłem do więzienia. Młody jeszcze byłem, skórę miałem łaskotliwą i, mówiąc naprawdę, to mi pod batami tak już obmierzły wszystkie wiary, że, jakby mi byli kazali zostać Żydem, to byłbym tak samo został, jak i prawosławnym. Nie moja głowa wybierać, co lepsze.

Opierałem się tylko dla matki, bo mnie wciąż zaklinała na wszystkie świętości. Popędzili mnie do Białej. Siedziałem ze trzy miesiące. Z początku było mi niezgorzej: jeść dawali, było ciepło i roboty żadnej. Ale się wciąż opierał i mówiłem: «Nie i nie!» Przesadzili mnie na osobność i dali funt chleba na dzień. Wytrzymałem. Cóż tam głód dla chłopca: rodzona matka, nie macocha! Ale wkońcu wzięli się na sposób i zaczęli mnie żywić kaszą ze starem sadłem. Tego, panie, nie mogłem już przetrzymać. W pieklebym wytrzymał, ale tej kaszy nie poradziłem! Po tygodniu zgodziłem się na wszystko, co tylko chcieli. Aże mnie mgli na samo przypomnienie. Na stare sadło złowili sobie duszę...

Gruchnął takim złym i cynicznym śmiechem, aże mnie przeszedł zimny dreszcz. Spojrzałem na niego z pewną przykrością i żalem.

— A później przejrzałem wszystko nawylot i teraz wiem, że jedni i drudzy tak samo djabła warci! — zaczął gniewnie i opryskliwie. — Każdy

chłopa ciągnie na swoją stronę, bo każdy tylko z chłopą żyje. Może nieprawda?

Nie odpowiedziałem. Milczał czas jakiś, konie popędzał i znowu się odwrócił do mnie:

— Żeby się im nie przytrafiło, jak tym babom, co się klóciły o psa i dalejże go sobie wydzierać, aż się psu sprzykrzyła ta zabawa jego skórą... i pogryzł obie.

VI.

Nie pamiętam już, gdzie zauważyłem po raz pierwszy krzyż, postawiony w czystym polu, ale pamiętam, że stał samotnie wśród zbóż rozkołysanych i otwierał białe ramiona, jakby chcąc przygarnąć w miłosiernym uścisku pocieszenia całą tę ziemię nieszczęsną. Myślałem, że to mogiła samobójcy, lecz później, w dalszej wędrówce po Chełmszczyźnie, zobaczyłem jeszcze więcej takich samotnie stojących krzyżów; dźwigały się po miedzach, w lasach, w głuchych pustkach i nad rzekami, w gęstwinach wiklin i olch, a zawsze zdala od ludzkich siedzib i dróg wszelakich.

Dziwiło mnie głównie to, że wszystkie były nowe i jakby w jednym czasie postawione, ale tak się złożyło, iż dopiero w okolicach Chełma spytałem się o znaczenie.

Chłop, który mnie wiozł, spochmurniał nagle, rozejrzał się nieufnie, chociaż jechaliśmy pustą drogą, i odrzekł cicho:

— To mogiły «najoporniejszych». Wieczny odpoczynek daj im, Panie!

Westchnął i jakby się pogрузił w smutne rozpamiętywania. Nie śmiałem przerywać modlitewnego nastroju i milczenia.

Upał tego dnia był nie do wytrzymania. Niebo wisiało białawą, rozpaloną blachą, i słońce lało takim warem, że konie ledwo się już wlokły, a rozprężona cisza pól ogarniała niezmożoną sennością. Cały świat omdlewał w słonecznej połodze. Kłosa zbóż ciężko zwisały nad drogami; samotne drzewa, opłynięte białawym, rozedrganym skwarem, stały podobne do płomienistych wybuchów; nawet cienie leżały pokurczone, niby liście, powiędłe z żaru. Rozżarzone, migotliwe światło wyżerało oczy, kurz zapierał piersi, oddychało się duszącą spiekotą, parzyła ziemia, parzyło powietrze, parzyło wszystko. Drogi leżały puste i wyschnięte, na polach nie ujrzał ani żywej duszy: lipcowe południe spędziło wszystkich pod strzechy. Zamilkły ptaki, nawet skowronki nie dzwoniły, a tylko czasem przeleciała nisko nad ziemią wrona z rozziajanym dziobem, gdzieś w żyt-nich puszczech zawołała przepiórka lub furknęły młode kuropatwy.

— Daleko jeszcze mamy do Chelma?

Nie mogłem już znieść milczenia.

— Niedaleko — ocknął się prawdopodobnie. —

Zdążymy ze słońcem.

Na szczęście, wjeżdżaliśmy w jakiś las, gęsto podszyty, i w rowie zalśniła woda, do której konie same skwapliwie skręciły.

— A możebyśmy przeczekali upał? — proponowałem, ledwie już żywy.

— Dobrze. Konie wychną, i człowiek rozprostuje gnaty.

Bór nas okrył cieniem i chłodem, z głębin bily wilgotnawe powiewy, przesycone żywicą i słoneczną zgnilizną. Wyciągnąłem się na trawie z rozkoszą. Chłop rzucił koniom siana, usiadł przy mnie, fajkę zapalił i zaczął mówić szeptem, jakby do siebie:

— Tam leżą tacy, którzy nawet po śmierci jeszcze «uporstwiają¹⁾». Tak, panie! — ożywił się nagle i podniósł głos. — Przecież w te straszne lata to człowiek musiał się obywać bez chrztów, bez kościoła i bez ślubów, a jak umierał, to i bez chrześcijańskiego pogrzebu. Nie było wolno się nam rodzić, ani umierać. A kto nie chciał iść do grobu w asyście popa i strażników, tego się grzebało pokryjomu, nocami, a często i w niepoświęcanej ziemi, jak zapowietrzonego. Sypały się potem na nas kary, sypały. Człowiek przecież nie mógł przepaść bez śladu, trzeba było zrobić w kancelarji akt zejścia, to pisarz zaraz pytał: — Gdzie nieboszczyk pochowany? — W ziemi. — Ale który pop go chował i w jakiej parafji? — W ziemi. Przecież cały świat jedną Bożą parafją. — Często gęsto oberwało się przytem pięścią, ale człowiek musiał powtarzać tylko to jedno: — W ziemi. — Bo i prawdę powtarzał. Strażnicy potem latali, jak wściekli, wyszukując trupa po cmentarzach, a znaleźli, to pochowali po raz drugi, ale po swojemu. I mnie spotkało takie nieszczęście. Straciłem był chłopca. Miał już na piąty rok. Zmarnował się na krosty. Pochowałem go, jak się wszystkich naszych

¹⁾ Po rosyjsku — są oporni.

chowało, w głuchą noc i kryjomo; a chociaż mogiłkę zrównałem z ziemią i założyłem darnią, strażnicy ją wywłachali, rozkopali grób i trumienkę wyciągnęli; pop ją pogrzebał po raz drugi na innem miejscu i z wielkimi ceremonjami.

Napróżno moja żona broniła dziecka — nie przemogła. Jeszcześmy potem zapłacili sztraf i w kościele siedzieli. A nie tak dawno, bo z dziesięć lat temu, przysłała na mnie nowa bieda. Umarł mi zięć. Twardy to był Polak i gorliwy katolik, dopomagał też «opornym», jak tylko potrafił, księży przewoził i książeczki po wsiach roznosił, nawet do Rzymu jeździł ze starym Błyskoszem. Przeziębził się na misjach i do trzeciego dnia już był gotowy. Ale ostatnim tchem prosił, żeby go po śmierci nie wydać popu. Sprawa była ciężka: znali go dobrze strażnicy i wciąż go tropili, tylko, że się im zawsze wyslizgiwał z pazurów, jak piskorz. Więc skoro gruchnęło po wsi o jego chorobie, starszy¹⁾ zamówił się do nas, niby to w jakimś interesie. Zaraz zmiarkowałem, że chce zobaczyć, czy chory długo pociągnie. Nie dałem tego poznać po sobie, ale chory, chociaż ledwie o Bożym świecie wiedział, zakrzyczał:

— Twój brodacz jeszcze mnie nie pochował
Jeszcze wyzdrowieję!

Starszy odszedł i na drugi dzień znowu przyszedł, a że chory już był nieprzytomny, to zaglądał do chałupy co parę godzin i czyhał na niego, jak djabeł na dobrą duszę. Trzeciego dnia, jakoś o zmierzchu, zmarło się choremu. Zatailiśmy śmierć

¹⁾ Starszy — strażnik.

nawet przed najbliższymi sąsiadami. Pozasłaniałem okna, i chociaż wśród płaczów i narzekań, a trzeba było pomyśleć, co dalej robić, boć do trzeciego dnia nie mogliśmy zwlekać z pogrzebem. Baliśmy się, że strażnik przyjdzie rano i nieboszczyka już nam ze swoich garści nie popuści. Rada w radę, postanowiliśmy pochować go jeszcze tej nocy; niesposób było ryzykować ani jednego dnia. Na szczęście, noc była chmurna, i padał drobny, gęsty deszcz; kobiety przybrały nieboszczyka, ja zbiłem bylejaką trumnę, i zaraz po północy powieźliśmy go polami do lasu, w takie miejsce, że ani się mógł kto domyślić. Co tam przytem było płaczu i lamentów, to już lepiej nie wspominać... Wróciliśmy o samym świcie, tylko co głowę przyłożyłem do poduszki, aż tu przylatuje mój najstarszy i powiada:

— Od naszej stodoły, przez pola i do samego lasu, znać, jakeśmy w nocy jechali. Jak trafią na te ślady, to i grób znajdą.

Co tu robić? Myślałem, że mnie krew zaleje. Przecież takich śladów nie zatrze napoczekaniu. Było to na wiosnę, grunt był spulchniony pod zasiew, że miejscami koła zarzynały się po osie... Medytujemy, co począć, gdy któreś z dzieci krzyknęło:

— Strażnik na wsil! Pewnie idzie do nas.

— Jezus, Marja! Wszystko się wyda, i wykopią go, jak Jasia!

Ale Pan Bóg mnie oświecił i natchnął Duchem świętym: kazałem synowi położyć się do łóżka po nieboszczyku, kobiety obwiązały mu głowę mokremi szmatami, przykryły go pierzyną, i wdowa usiadła przy nim, nie powstrzymując już tych łez rzewli-

wych, jakie wylewała po mężu, i tych wzdychań bolesnych.

Starszy wszedł i zaraz od progu pyta o chorego zdrowie.

— W Bogu nadzieja, że może jeszcze wyzdrowieje... — powiedziałem.

Popatrzył na nas, przeżegnał się i wyszedł.

A po południu zjawił się pop, aby go przysposobić na śmierć. Wdowa zagroziła mu sobą drogę i gębę wywarła. Nie uląkł się jednak kobiecych natrząsań, był już nawykły do takich przyjęć. Ale jakem powiedział, że zięć choruje na ospę, przybliżył i wyniósł się, jak niepyszny: miał przecie ośmioro drobiazgu. Tylko strażnik zaglądał do nas przez cały tydzień i niczego się nie domyślił. Dopiero, kiedy deszcze rozmyły owe ślady, że i djabeł nichy po nich nie wytropił, dowiedział się o wszystkim. Dziw, że się nie wściekł ze złości! Szukał też dniami i nocami, ale złapże ten wiatr w polu... Odsiedziałem za tę sztukę parę tygodni. Cóż robić, panie, kiedy sami zmuszali nas do cygaństwa. Żyliśmy pod ziemią, jak krety, to i po kreciemu trzeba się było bronić. Mój Boże, ileż to razy człowiek wędrował o kilkanaście mil do kościoła, i z przed samego ołtarza strażnik go wyciągał za łeb i prowadził do kozy na inne, dłuższe pacierze. A często i sami księża odpędzali nas od kościołów, jak oparszywiałe psy, bali się bowiem «opornych» gorzej, niżli śmiertelnego grzechu... — zakończył, żegnając się, jakby na odpędzenie ciężkich przypomnień.

Kiedy się nieco ochłodziło na świecie, ruszyliśmy dalej, a on zaczął mi szczegółowo opowiadać

przesmutne dzieje swojej parafji. Mówił cicho, monotonna i bez żalu, jakby powiadał zwykle codzienne sprawy, które musiały przyjść, i które człowiek musi przenieść. A ja słuchałem z zapartym tchem, pełen zgrozy, bólu i zdumienia. Chwilami zdawało mi się, że słyszę jakąś straszliwą tragedję, pełną łez, jęków, bezbronnych ofiar i nadludzkich bohaterstw. Ale nie, to była prawda i rzeczywistość, jak prawdą był ten dzień upalny, ta droga, dudniąca pod kołami, i ten stary, pochyły chłop — to była okrutna prawda o przeszłości tego męczeńskiego ludu «opornych». Nie mogę opisywać wszystkiego, bo musiałbym rozsnuwać dzieje każdego człowieka, każdej chałupy i każdej grudki ziemi, przesiąklej krwią i łzami. Przytoczę tylko jeden fakt, niezmiernie charakterystyczny i typowy.

W roku 1883, w początkach lutego, umarła w Janowie Podlaskim niejaka Agnieszka Semeniuk, jak wszyscy «oporni», gorliwa katoliczka. Przed śmiercią zakłęła na wszystkie świętości rodzinę i swoich najbliższych, żeby ją pogrzebali chociażby w dole po kartoflach, byle tylko po katolicku. A sprawa była niełatwa, gdyż cmentarze w tym czasie były już srodze pilnowane, zwłaszcza nocami, żeby przeszkodzić tajnym pogrzebom «opornych». Wzięli się więc na sposób i postanowili ją pochować w biały dzień, kiedy cmentarz był najmniej strzeżony.

Jakoż trzeciego dnia zebrało się przy zmarłej kilkanaście kobiet, wzięły trumnę pomiędzy siebie na prześcieradła i ruszyły bocznemi uliczkami ku cmentarzowi. Szły cicho, bez śpiewu, jak lękliwe,

czarne cienie, ale i tak je dojrzał jakiś «duszogub» i dał znać policji. Zastąpiło im wnet drogę paru strażników, i zawrzała krótka walka, bo kobiet było więcej; rozpędziły napastników i poszły śpiesznie dalej.

Rozległy się świsty, nawoływania i tętenty, a zanim zdążyły do grobu, rzuciła się na nie cała zgraja z dobytymi szablami. Jedne kobiety zwarły się w krąg trumny, drugie się aż na niej pokładły i broniły nieboszczki zębami i pazurami. Wrzask rozniósł się po całym mieście, naleciało się ludzi, a bójka toczyła się coraz zawzięciej; trumna przechodziła z rąk do rąk i wkońcu, przy wydzieraniu jej sobie, padła na bruk rozbita, i nieboszczka wyleciała w śnieg. Krzyk gruchnął niebosiężny, podniosły się straszne płacze i szlochy, czem rozszalone jeszcze bardziej kobiety rzuciły się na strażników z taką furją, że po chwili zrobiła się jedna olbrzymia kupa ciał, tarzających się po ulicy z dzikim wrzaskiem nienawiści.

Skorzystały z tego jakieś rozważniejsze, porwały trupa i, owinąwszy go w chusty, pozdzierane z własnych pleców, zaczęły z nim uciekać, ale już nie zdążyły. Nadbiegło bowiem jeszcze więcej strażników ze starszym na czele, trupa odebrali, a włożywszy go do trumny, kobiety rozpędzili na cztery wiatry. Musiały ustąpić przed siłą, tylko, widząc, że sprawa przegrana, wybuchły strasznym rykiem i przekleństwami.

Na placu została tylko trumna i strażnicy, nie wiedzący, co z nią zrobić, gdyż do cerkwi było daleko, a nikomu nie chciało się jej nieść.

Nadjechał na to jakiś chłop. Kazali mu trumnę wieźć, ale chłop zmiarkował, o co idzie, zaciął konia i uciekł.

I nikt w całym mieście, pomimo próśb i groźb, nie chciał dać koni, a trumna, powiązana sznurami, wciąż czekała na środku ulicy.

Wreszcie o zmierzchu przyjechał z Blonia jeden z gospodarzy, i dopiero tego przymusili, że zawiózł nieboszczkę do cerkwi.

Nazajutrz za pogrzebem poszedł tylko pop, diak i wszyscy, jacy byli w mieście strażnicy, a z każdego domu popłynęły za nim ciche, żałosne płacze i wyrzekania.

VII.

Noc zapadła mętna i nieco burzliwa. Wiatr ze świstem zamiatał drogi, bijąc tumanami kurzawy, po ołowianem niebie przewalały się długie warkoty grzmotów, i co chwila latały oślepiające błyskawice, w których było widać, jak się szarpały przydrożne drzewa i rozkolebane, spienione zboża. Burza mogła wybuchnąć lada chwila.

— Może przejdzie bokiem, a może nas i zleje... — pocieszał nas furman, pokrzykując na konie, bo wlokły się noga za nogą; droga bowiem była ciężka, wyboista i pełna kamieni, a z obu stron ciągnęły się głębokie rowy, przyczajone w ciemnościach. Już od zmierzchu jechaliśmy tak wolno i na chybił trafił, więc dojrawszy przemykający zarys jakiegoś człowieka, pytam go skwapliwie:

— Którędy do Chelma?

— Szosą na prawo, a potem na lewo.

— A gdzież ta szosa, daleko?

Człowiek rozwiął się, jak cień. Bądźże teraz mądry i szukaj wiatru w polu, kiedy obaj z woźnicą nie znaliśmy drogi.

— Po dniu, to trafiłbym i do piekła — mruczał furman.

— A mówiliście, że drogę znacie.

— Przecież nieraz woziłem do Chelma starego pana, tylko z innej strony.

Jechaliśmy dalej zupełnie poomacku, kierując się tylko jękiem drutów telegraficznych nad naszymi głowami. Noc stawała się coraz burzliwsza i mętniejsza, drogi opustoszały, i po wsiach nie było już ani śladu, jakby przepadły w nieprzeniknionych ciemnościach.

— Tylko za moich czasów nie było jeszcze szosy — odezwał się po chwili.

— A dawno jechaliście ostatni raz do Chelma?

— Będzie chyba ze czterdzieści років, jeszcze w powstanie.

Dałem już spokój indagacjom, bo szosa zadudniła pod kołami, a konie raptem przystały.

— Zgadnij teraz, zgadula, gdzie złota kula? — biedził się zakłopotany.

— Szosą na prawo, a potem na lewo — przypomniałem.

Konie ruszyły z kopyta. Gdzieś przed nami zamajaczyły jakieś światelka, i daleko, daleko leciał przeszywający świst parowozu.

— A potem już nie przyjeżdżałem, bo mnie
Z ziemi chelmskiej.

z moim panem popędzili aż za Bajkał¹⁾, to człowiek i zapomniał drogę — usprawiedliwiał się znowu.

Mijaliśmy długie wzgórza, pokryte lasem, gdy naraz doleciał nas rozpaczliwy skowyt psów i straszliwy zapach padliny.

— Hycle pachną, to i Chelm musi być niedaleko... — zauważył.

— Popędzajcie! — krzyknąłem, gdyż smród był nie do wytrzymania.

— Jedziemy pod wiatr — tłumaczył flegmatycznie²⁾ — przecież pod każdym miastem są takie hycłowskie osady, ale żeby tu pozwolili tak przy samej szosie... — dziwił się głośno i podcinał konie dla pośpiechu.

Przedostawszy się przez tę zapowietrzoną strefę, skręciliśmy na lewo, w szeroką ulicę, obstawioną małemi, niskimi domami, nad którymi majaczyły baniaste kopuły. Wkrótce droga zaczęła się zwolna podnosić, i przybywało coraz więcej światła, że już cała droga roiała się od nich, jakby pokryta mrowiem świętojańskich robaczków.

Chelm był tuż przede mną, płatanina domów, ogrodów i cerkwi, osypana błyszczącą rosą światła, piętrzyła się na tle nieba czarnemi, groźnemi konturami.

Przez parę tygodni zrzędu a tak złowrogo brzmiała mi w uszach nazwa tego miasta, że wjeżdżałem do niego z uczuciem dziwnego niepokoju

¹⁾ Bajkał (Baj-Kut) — największe jezioro w Azji, w Syberji środkowej, na pograniczu gub. irkuckiej i kraju Zabajkalskiego; ²⁾ flegmatycznie (z greck.) — powolnie, ospale, leniwie.

i obawy. Są bowiem «złe miasta», które, jak i źli ludzie, rozciągają dokoła siebie atmosferę niewytłumaczonej trwogi. Takim «złym miastem» wydał mi się Chełm.

Dlaczego lud w swoich podaniach i wierzeniach zawsze zaludnia szczyty gór djabłami i czarownicami? Leży w tem jakiś głęboki symbol niezbadanej prawdy. A Chełm rozłożył się na dosyć wyniosłym wzgórzu, panującym nad rozległą okolicą. I jakby na stwierdzenie wierzeń, gnieździ się na tej górze jakieś «zło», które już od wielu, wielu lat posiewa dokoła zatrute ziarna nienawiści, krzywdy i nieszczęścia, a ten posiew wschodzi, plonuje i rozlewa się całem morzem łez, krwi i cierpienia.

Było już dosyć późno, i z racji piątku cały Chełm pachniał szabasowymi specjałami. Ulice były puste, sklepy pozamykane, a tylko tu i owdzie poza rozjarzonymi szybami kiwały się stare, pobożne głowy.

Nazajutrz od samego rana wyszedłem na miasto.

Po nocnej burzy nie było już ani śladu, pogoda zrobiła się wspaniała, błękit nieba lśnił niepokalany, kopuły cerkwi grały w słońcu barwami złotemi, a z pól zawiewał wietrzyk pachnący skoszoną koniczyną. Ale samo miasto, pomimo prześlicznego położenia, jest brzydkie, ladajako zabudowane, straszliwie brudne i literalnie zapchane żydowskimi kramikami; ot, zwykła nasza powiatówka, składająca się z jednej, dosyć szerokiej ulicy, która się ciągnie grzbietem wzgórza do stóp katedry, i z kilkudziesięciu zaułków, rozrzuconych bezładnie po

stromych zboczach. Imponująca jest tylko liczba cerkwi, ich ogrom i wspaniałość; naturalnie, że wszystkie są świetnie wyposażone i stoją pustkami, gdyż prawosławnych nie starczy na wypełnienie chociażby jednej. Zato kościół katolicki, liczący przeszło piętnastcie tysięcy parafjan, nie może pomieścić swoich wiernych nawet zwykłego dnia na mszy. Ale taka już nasza dola: «Jednemu szydło goli, a drugiemu i brzytwa nie chce» — mówi przysłowie.

Dawna katedra unicka, przerobiona po zniesieniu Unji na sobór prawosławny, dominuje ¹⁾ nad miastem, wznosi się na szczycie góry, a obok niej wyrosła nowa, wysoka dzwonnica.

Na szerokich, kamiennych schodach, prowadzących od strony miasta na górę katedralną, siedział cały rząd niezmiernie charakterystycznych dziadów, i zaledwie postawiłem nogę na stopniach, gdy opadło mnie stado jastrzębich spojrzeń, kilkadziesiąt rąk wyciągnęło się do mnie, i schrypnięte, jękliwe głosy, jakby automatycznie, zaintonowały błagalny chór, zaklinający na Częstochowską, Ostrobramską i Kodeńską ²⁾, abym się ulitował nad nieszczęśnikami.

Zebrali taką dobrą polszczyzną, że odszedłem o parę złotych uboższy. Przystanąłem na szczycie schodów, olśniony przepięknym widokiem, jaki się stamtąd rozciąga na niezmierną przestrzeń pól, po-falowanych wzgórzami, pełnych drzew, wiosek, czarnych plam lasów, krętych strumieni, połyskujących

¹⁾ Dominować (z łac.) — panować; ²⁾ obraz cudowny N. Marji Panny znajduje się w kościele parafjalnym w osadzie Kodeniu, ziemi siedleckiej, pow. bialskiego.

w słońcu, i ptasiego świergotu, kiedy dziadowski śpiew znowu mi zajęczał w uszach.

Po schodach szedł jakiś oficer z damami, a wyciągnięte ręce zabiegły im drogę, i proszalny chór znowu zaklinał, tylko że już w innym języku i na inne świętości, bo na Kazańską ¹⁾, na Poczaïowską ²⁾, na św. Mikołaja i na wiele takich imion, które usłyszałem po raz pierwszy w życiu. Musieli być szczerze opatrzeni, gdyż jeszcze długo ślali błogosławieństwa i dziękczynienia.

Nie czekając już na więcej dowodów tej mądrej dziadowskiej polityki, poszedłem do soboru. Trafiałem jednak nieszczęśliwie, gdyż z powodu odnawiania główny ołtarz i wszystkie wspanialsze ikony ³⁾ były pozasłaniane. Główną nawę wypełniały ruszowania, farba pryskała na wszystkie strony, a gdzieś z pod sufitu rozlegała się «ojra» ⁴⁾, zapamiętałe wygwizdywana. W bocznych nawach ⁵⁾, cichych i mrocznych, również nie było nikogo.

— Czy tutaj zawsze tak pusto? — pytam jakiegoś robotnika.

— Jak strażniki napędzą, to i goście są... — odpowiedział, zajrzał mi w oczy i cofnął się w głąb soboru.

Wyszedłem na plac, zalany słońcem i oślepia-

¹⁾ Obraz cudowny M. Boskiej w kościele katedralnym Zwiastowania N. P. M. w Kazaniu; ²⁾ por. str. 86, u. 3; ³⁾ ikona (z greck.) — wyraz rosyjski, w języku polskim mało używany, oznacza obraz święty; ⁴⁾ melodja popularna polki, ulubionej przez lud warszawski; ⁵⁾ nawa (z łac.) — część wnętrza kościoła. Wnętrze dzieli się na 3 nawy: główną i dwie boczne: prawą i lewą.

jącą białością murów. Nie było nigdzie widać ani żywej duszy, a mimo usilnych poszukiwań po przyległym parku, nie znalazłem nigdzie ani śladu tych pobożnych tłumów, jakie, według zapewnień «istinnych» ¹⁾, mają wciąż, dniami i nocami, płynąć do soboru z całej Chełmszczyzny.

Wstąpiłem do Muzeum, które, jak i wszystkie gmachy, otaczające sobór, jest bardzo czyste, bardzo monotonne, bardzo starannie utrzymane i w bardzo «kazionnym» ²⁾ stylu wzniesione. Muzeum składa się z kilku niewielkich pokojów i jednej ogromnej sali, przeznaczonej na zebrania «Bractwa». Na jednej ze ścian wiszą w parę rzędów portrety dawnych biskupów i metropolitów unickich, owi Pocieje ³⁾, Terleccy ⁴⁾ i Rutscy ⁵⁾, twórcy Unji, jej dobrodzieje,

¹⁾ Istanny (po rosyjsku) — prawdziwy, rzeczywisty. W latach ostatnich przed wielką wojną światową w Rosji największy wpływ miało stronnictwo «prawdziwych (istinnych) Rosjan», których celem było fanatyczne tępienie wszystkiego, co nie jest rdzennie rosyjskie, i przeprowadzanie «jednolitości» państwa rosyjskiego. Zapomocą zacieklej propagandy szerzyli oni mnóstwo kłamstw, dotyczących Polski i Polaków. Oni wysunęli projekt wyodrębnienia Chełmszczyzny i starali się go przeprowadzić wszelkimi środkami; ²⁾ kazionny (kazna — skarb) — po rosyjsku — skarbowy. Styl «kazionny», t. j. skarbowy oznacza tu styl urzędowy, w jakim budowano wszelkie gmachy na koszt skarbu w Rosji; ³⁾ Pocię Adam Hipacy (1541—1613), od 1600 metropolita kijowski, jeden z głównych twórców Unji brzeskiej, 1595 r.; Pocię Jan, kanonik katedr. chełmski i rektor unick. seminarjum w Chełmie (zm. 1859); ⁴⁾ Terlecki Cyryl (zm. 1607), współpracownik Pocię Adama w przeprowadzeniu Unji brzeskiej. Terlecki Metody, unicki biskup chełmski (zm. 1649), jeden ze świeczników Unji, położył niepożyte zasługi dla rozwoju kościoła unickiego; ⁵⁾ Rutski

obrońcy i męczennicy, a z przeciwnej strony czer-
nią się surowe, fanatyczne głowy współczesnych pa-
sterzy, ze sławetnym Eulogjuszem ¹⁾ na końcu. Dwa
świąty patrzą na siebie niememi oczyma, dwie kul-
tury i dwie przepaście, niczem i nigdy nie zasypane.

W rogu sali wisi obraz cudownej Matki Bo-
skiej Chełmskiej z XVII wieku, przez wieki czczonej
na Unji, ale obecnie zdegradowanej i wyrzuconej
z soboru, prawdopodobnie dlatego, że jest namalo-
wana i ubrana nie po formie. Miejscowy «Cholmskoj
narodnyj kalendar» ²⁾ na rok 1909 tak mówi o pew-
nym szczególe tego obrazu: «Kolo prawego ramienia
Matki Boskiej, na sukni wisi order Orła Białego, któ-
ry z głupoty (po nierazumieniu) zawiesił polski król,
Jan Kazimierz, wygrawszy bitwę pod Berestecz-
kiem» ³⁾).

Gdzie Rzym, gdzie Krym! Gdzie Beresteczko,
a gdzie czasy «Orła Białego?»

Nie jest to jedyny kwiatek «uczoności» autora,
gdyż na następnych stronicach tego samego arty-
kułu używa sobie jeszcze lepiej i wylewa całe mo-
rze fałszów i kłamstw na dawnych biskupów unic-

Welamin Józef (zm. 1637), przyjaciel i towarzysz pracy
Adama Pocieja, po jego śmierci metropolita kijowski. Za-
kładał seminarja, szkoły świeckie dla Unji, brał udział
w ruchu piśmienniczym.

¹⁾ Eulogjusz, prawosławny biskup chełmski, znany
z działalności przeciwpolskiej i przeciwnickiej, gorliwy
zwolennik wyodrębnienia Cmełmszczyzny; ²⁾ chełmski ka-
lendarz ludowy (ros.); ³⁾ król Jan Kazimierz odniósł zwy-
cięstwo pod Beresteczkiem nad Kozakami i Tatarami
w r. 1651, pierwszy zaś order polski, Order Orła Białego,
ustanowił król August II w r. 1705.

kich, a zwłaszcza Pocięja traktuje, jako ostatniego szubrawca i złodziejaszka, który okradał cerkwie prawosławne i pastwił się nad duchowieństwem, i «więcej był rozbójnikiem, niż metropolitą». W takim tonie «istinnej» prawdy trzymany jest cały kalendarz, i taką samą zawierają te setki broszur, wydawanych przez «Bractwo» i celowo rozrzucanych w dziesiątkach tysięcy pomiędzy ludem. Polskość i katolicyzm — to owa czerwona płachta, na której wspomnienie ogarnia «istinnych» karjerowiczów chełmskich taki paroksyzm wściekliwości, że wtedy wyrzucają z siebie stek kłamstw, denuncjacyj¹⁾, oszczerstw i groźb. Bredzą już nieprzytomnie, jakby zatruci własnym jadem nienawiści. Doprawdy, że budzą mimowolne politowanie.

W pozostałych paru pokoikach «Muzeum» zgromadzono to, co się tylko dało zebrać z dawnych kościołów unickich, a co jeszcze jakimś cudem ocalało z grabieży i zniszczenia. Tłoczą się więc jakieś połamane szczątki rzeźb, złociste feretrony²⁾, portrety kolatorów³⁾, sygnaturki⁴⁾, święci w mnisich szatach, zmartwychwstające Chrystusy, Matki Boskie, chorągwie, drewniane anioły z rozpostartymi skrzydłami, monstrancje⁵⁾, krzyże, kielichy, mszały

¹⁾ Denuncjacja (z łac.) — potajemne oskarżenie, doniesienie; ²⁾ feretron (z greck.) — obraz święty w ramach lub posąg na podstawie do obnoszenia na procesji; ³⁾ kolator (z łac.) — ten, co swoim kosztem wybudował kościół lub go wyposażył swym majątkiem; ⁴⁾ sygnaturka (z łac.) — najmniejszy dzwonek kościelny, dający znać o rozpoczęciu nabożeństwa; ⁵⁾ monstrancja (z łac.) — sprzęt kościelny, służy do wystawienia uroczystego Hostji.

i różne aparaty kościelne — wszystko gwałtem spędzone z różnych stron, odrapane, zabrudzone, ponadłamywane i kalekie zalega bezładną ciżbą ściany, podłogi, gablotki ¹⁾), szafy i ciśnie się tłumem sierocym a żalosnym do zakratowanych okien i, uwięzione na wieki w tych białych, zimnych murach, zda się trwożliwie nasłuchiwać wichrów, niosących echa dalekich pól, wiosek i chat.

Już słońce zachodziło, gdy się znowu znalazłem na głównej ulicy Chełma.

Szedłem środkiem ulicy, gdyż trotuary ²⁾ były wprost zatłoczone szabasową publicznością, płynącą czarną, rozszwargotaną i nieustannie wzbierającą rzeką, która stawiała się coraz bełkotliwszą i rozlewała się coraz szerzej, że tylko niekiedy mignęła gdzieś urzędnicza czapka, zabrzczał pałasz oficerski, lub przemykał trwoźnie, nad samym rynsztokiem, jakiś zwykły, cywilny Aryjczyk ³⁾).

— A gdzież są Rosjanie w tem «odwiecznie rosyjskiem» mieście? — pytam znajomego.

— Mamy wszystkiego coś z pięć rodzin rosyj-

¹⁾ Gablotka — szafka oszklona; ²⁾ trotuar (z franc.) — chodnik; ³⁾ Aryjczycy a. Arjowie — nazwa ludów, które ongi, w epoce zamierzchłej, zamieszkiwały Iran i północny Indostan. Pierwotna jednak kolebka Arjów nie jest ściśle oznaczona. Wiadomo zaś, że Aryjczycy rozdzielili się, i plemiona ich, zwolna emigrując z pierwotnych siedzib, rozsiadły się szeroko w Azji i w Europie. Z tego pnia aryjskiego pochodzi ogromna większość narodów europejskich: Grecy, Rzymianie, Celtowie, ludy romańskie, germańskie, słowiańskie, Trako-Illiryjczycy, Litwini. Nazwę «Aryjczyk» autor użył tu dla przeciwstawienia jej «szabasowej publiczności», Żydom, należącym do rasy semickiej.

skich, naturalnie prócz urzędników, ale niech pan poczeka: jak Chelm zostanie awansowany ¹⁾ na gubernjalne miasto, to przybędzie ich tutaj znacznie więcej — przecież otworzy się tyle nowych posad! A zresztą i Żydzi się postarają, żeby się tu zmieniło nie do poznania, jestem bowiem pewien, że, jak tylko poczują w tem jaki interes, to sami się przebiorą w tuluby ²⁾ i czerwone rubaszki ³⁾, zmieniają język, przemalują szyldy, zaprenumerują odpowiednie pisma i zaczną krzyczeć przy każdej sposobności: «Mi ruskije ludi», a nas będą tropili gorliwiej i zacieklej, niżli to nawet czynią sami «istinni» ⁴⁾. No, i dadzą miastu taki charakter, jaki będzie potrzeba.

— Trudno im będzie tak na oczekaniu przeobrazić Chelm.

— Powierzchownie zmienić jest bardzo łatwo, pomogą im w tej pracy, i za parę lat Chelm tak będzie wyglądał, jak wyglądać powinien. Miasto niewielkie i ludność bez głosu, to łatwo przecharakteryzować wszystko na styl «kazionny»... Dachy się pozieleni, a ściany skąpią w takiej «malinie» ⁵⁾, że będą się czerwieniły, jakby obdarte ze skóry; doróżkarzy wypchają, żeby przypominali kopy siana ⁶⁾,

¹⁾ Awansować (z franc.) — posuwać na wyższy stopień, na wyższy urząd; ²⁾ tulub (gwar. lud.) — kożuch pokryty; ³⁾ rubaszka (rosyjsk.) — koszula. Czerwona koszula i tulub — charakterystyczny ubiór moskiewski; ⁴⁾ por str. 102, uw. 1; ⁵⁾ urzędowe gmachy Rosjanie malowali najczęściej na kolor malinowy; ⁶⁾ typowy «izwoszczyk», t. j. doróżkarz rosyjski powinien być w biodrach szeroki tak niepomernie, że istotnie wygląda, jak kopa siana.

zabronią na ulicy mówić po polsku, zniszczy się, co tylko przypomina «zgniły Zachód» ¹⁾), resztę kościołów poprzeraabia się na cerkwie, wyda się nieco broszur, dowodzących naukowo, jako w Chełmie nie powstała ni jedna polska noga, i wkońcu sami uwierzą, że to miasto było i jest czysto rosyjskie. A jak się trafi jeszcze parę żydowskich pogromów i parę grubych «niedoimek» ²⁾ w «kaznaczejstwie» ³⁾, to i czemuże się będzie różniło od Homlów lub Berdyczowów? ⁴⁾ Chyba tylko stanem wzmocnionej ochrony, zaprowadzonej już na stałe.

— Ale cóż im przyjdzie z takiej maskarady?

— Państwu nic, ale tym, co to robią, wszystko, bo order, awanse i nagrody. Zdaleka bowiem będzie robiło wrażenie, że coś robią naprawdę, czegoś bronią i coś tworzą. Przecież tu tylko chodzi o jakiekolwiek pozory do odznaczenia się i zasług.

— Więc pan przypuszcza, że Chełmszczyznę odłączą?

— Jestem tego najzupełniej pewien. Za wielu ludzi ma w tem swój własny interes. Trzeba zdobyć Chełmszczyznę i rzucić ją na pastwę zawsze głodnemu tłustych posad Molochowi ⁵⁾. A że za to

¹⁾ Rosjanie lubili z pogardą nazywać Europę zachodnią — zgniłym Zachodem; ²⁾ niedoimka (z ros.) — niedobór, zaległość; ³⁾ kaznaczejstwo (z ros.) — izba skarbową; ⁴⁾ Homel, miasto powiatowe w gub. mohylewskiej, ma 50% Żydów; Berdyczów — miasto powiatowe na Ukrainie, z 78% ludności żydowskiej; ⁵⁾ Moloch (Melek) — nazwa bóstwa, czczonego w starożytności przez rozmaite plemiona i ludy semickie. Fenicjanie, Syryjczycy i Hebrajczycy wyznawali kult Molocha, jako bóstwa groźnego i niszczącego, które czczono ofiarami z ludzi. Stąd Moloch przenośnie oznacza

zapłaci chłop ruski czy polski, że zapłaci upadek kultury całego kraju, że popłyną nowe morza łoż, i nowe krzywdy spadną na miliony, cóż to obchodzi tych wszystkich, dla których jedynym Bogiem jest «czin»¹⁾, a istotnem, rzeczywistem świętem każdy 20-ty miesiąc²⁾

Im zawsze będzie dobrze, ciepło i syto.

dziś jakąś sprawę, przedmiot lub istotę, wymagającą wielu niewinnych ofiar.

¹⁾ Czini (ros.) — ranga; ²⁾ dn. 20 miesiąca, wedle przyjętego w Rosji zwyczaju, wypłacano pensje urzędnikom.



Poz. k. inw. 1965
KONIEC

